

# BLUSZCZ

*Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiecy*

ROK LXIII

WARSZAWA, DNIA 2 SIERPNI 1930 ROKU

NR. 31

TREŚĆ NUMERU: Ideowo, czy zarobkowo? — *Janina Strzelecka*. Poezje: „Wieża“ — *Lucyna Krzemieniecka*. Oblicze miłości — *Halina Izdebska*. Ostatnia Sybilla — *Stefanja Podhorska-Okolów*. Czar uśmiechu — *J. Putiatycz-Surynowa*. Kultura estetyczna — *Stanisław Machniowicz*. Z życia ekranu — *Stef. H.* Z książki — *S. P. O. i l-n*. Kobieta w świecie i w domu. Warszawa, a rozwój idei ogródków działkowych — *Wanda Dobrzańska*. Piłka wodna — *Emka*. Z upalnych dni — *M. Dobrowolska*. Smażenie i rumienienie — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Zbierajmy nasiona morwy. Dodatek: „Nasza Mównica“. Dodatek „Mody i roboty“: Suknia sportowa — *Well*. Dodatek powieściowy: „Kraska w jarzębinie“ — *Zofja Reutt-Witkomska*. Arkusz wzorów.

## IDEOWO, CZY ZAROBKOWO?

Oto jest pytanie, a raczej cały łańcuch pytań, problemów, wątpliwości z jednej strony, a z drugiej minimum wysiłku, aby zrewidować dawne, dziś całkowicie nieaktualne, nierealne, niekiedy wręcz bezsensowne poglądy na temat stałego rozgraniczania tych dwu pojęć: *ideowo* i *zarobkowo*.

Ideową nazywamy więc każdą pracę o podkładzie społecznym, spełnianą z dobrej i nieprzymuszonej woli. O wszelakich motywach tej pracy pisałam oddzielnie, tutaj więc zaznaczę tylko, że jakkolwiek skała owej „ideowości“ jest olbrzymia, to jednak, poczynając od zasiadania na kwestach, czy urządzania dancinów na rzecz przeróżnych instytucyj, a kończąc na twórczym wysiłku, na przepysznym rozmachu, jednym z tych, dzięki którym porusza się z posad bryłę świata — wnikliwi, a subtelni członkowie społeczeństwa podciągają wszystkie te rodzaje pracy pod jeden wspólny mianownik.

Każdy więc, komu za jego pracę nie płacą, pracuje „ideowo“. Nic to, że pobudki tej pracy są niekiedy wręcz wątpliwej natury — nikomu na myśl nie przyjdzie zastanawiać się nad tem. A zresztą poco, skoro sztyldzik jest gotowy?

Ileż to razy chciałoby się powiedzieć, parafrazując Wyspiańskiego: „pani się społecznie bałamuci“ — do „działaczki“, która całkiem niewiedomo, z jakiego tytułu spogląda zgóry na tę drugą, zarobkującą; ale ostatecznie macha człowiek ręką, bo za ową osobą stoi mur takich, jak ona, dla których dzień wczorajszy dotąd się nie skończył, tylko oni w nim się skończyli i skostnieli.

Obserwuję stale pracę nauczycielek ludowych. Tych zwłaszcza, co, po zapadłych kątach Rzeczy-

spolitej rozsiane, są jedynymi pionierkami nie tylko oświaty, kultury, ale częstokroć i cywilizacji. Zdaje mi się wtedy, że „Siłaczka“ Żeromskiego jest najaktualniejszą rzeczą, jaką wogóle napisano.

Obserwuję pracę i działalność bardzo wielu urzędników administracyjnych, tych, którzy pracują bardzo ciężko na t. zw. kawałek chleba, ale w pracę swą wkładają maximum tego, co się nazywa poczuciem odpowiedzialności. Ta ich praca, praca zarobkowa, jest wówczas tak dalece ideowa, że, jeżeli chodzi np. o Kresy, nie waham się powiedzieć, iż są oni ostoją naszej młodej państwowości w całym tego słowa znaczeniu, są krzewicielami zasad obywatelskich i patriotycznych. Sprawiedliwe, rozumne, ludzkie wnikanie w sprawy petentów, choćby najdrobniejsze, umacnia autorytet państwa stokroć bardziej, aniżeli fanfary i barwność obchodów. Pozornie szara i nudna praca w *każdym* urzędzie, jeśli jest pojęta głęboko, spełniana sumiennie, w stosunku do ludzi *zyczliwie* — rozświetla mroki życia o wiele bardziej, aniżeli wszelka pseudo-społeczna krętanina.

Cóż bowiem z tego, że pan, czy pani X, Y, Z, piastujący te lub inne stanowiska, będący na tych, lub innych posadach, odbębiają swoje ileś tam godzin pracy, byle zbyć, byle jak, odnosząc się do owej pracy wyłącznie formalnie, wobec interesantów są oschli i niegrzeczni, obniżając tem powagę swego stanowiska, podkopując zaufanie ludności do urzędów państwowych; cóż z tego, że ci państwo nawet pracują „ideowo“ w godzinach pozabiurowych, czy szkolnych, wogóle po swej pracy zawodowej?

Czyż to nie ponura groteska, gdy takiemu komuś śpiewa się hymny pochwalne, jako „społeczni-



kowi"? Czy nikt nie pomyśli, że ten osobnik nieideowy w swej pracy zawodowej, nie może być ideowcem w pracy społecznej? Czy nikt nie pomyśli, że ów, źle pełniący swą pracę, urzędnik, doktor, nauczyciel, wnosi w życie zbiorowe pierwiastki fermentu, pierwiastki antyspołeczne? W godzinach urzędowych jest szkodnikiem społecznym, a w godzinach wolnych — dobroczyńcą?

Przykład: lekarz, czy lekarka w pewnej przychodni Kasy Chorych traktują pacjentów nie tylko z góry, ale wręcz z lekceważeniem, zarzucając często symulację, lub, jak to niedawno miało miejsce, odmawiając, w razie ciężkiego wypadku, pomocy, bo w rannym zjawił się w minutę po godzinie urzędowania p. doktora. Ci sami panowie pracują „ideowo i społecznie“ po wyjściu z ambulatorjum, wygłaszają odczyty na tematy wysoce humanitarne, ofiarują po parę godzin tygodniowo pracy w żłobkach, tych zwłaszcza, które są pod opieką możnych tego świata. I znowu pytanie, czy to też są ideowcy?

I dalsze pytanie: czy, jeżeli ktoś wkłada wiele z duszy, z samego siebie do swej pracy zarobkowej — także np. lekarz, będący nie tylko urzędnikiem, czy wolno-praktykującym, ale dobrym doradcą, ilekroć dobroczyńcą, opiekunem, zbawcą — wyczerpany swą całodzienną pracą, nie ma czasu na pracę „ideową“ z sztyldzikami — czy wolno się temu dziwić?

Spotka mnie zarzut, że przecież tyle pracy jest jeszcze do spełnienia, tyle spraw leży odłogiem, tyle pilnych, niecierpiących zwłoki, potrzeb, więc... Twierdzą stanowczo, że gdyby raz nareszcie rozpocząć pracę nad przeoraniem psychologii naszej w duchu pogłębienia poczucia odpowiedzialności za wszystko, co się robi; gdyby tak przenicować „utarte“ poglądy, datujące z czasów niewoli, kiedy praca społeczna i ideowa była równoznaczna z walką o niepodległość; gdyby wreszcie odrzucać o ile możliwości wszelkich dyletantów w pracy społecznej, a odważnie piętnować szkodników w pracy zawodowej, w urzędach, wogóle wszędzie, gdzie tacy istnieją — to może zartarłyby się powoli różnice między pojęciami „ideowo“, czy „zarobkowo“, może doszlibyśmy nawet do tego, że powstałaby nareszcie rubryka, w której pisanoby o „sensacjach“ w dziedzinie spraw pięknych, dobrych, czynów humanitarnych i bohaterskich, tych najwznioślejszych czynów codziennych.

Wspomniałam o pracy ideowej w czasach nie-normalnych, w epoce niewoli, czy podczas wojny. Skoro jedni szli na katorgę, czy na szubienicę, ginęli w bitwie, jednym słowem oddawali życie — czyż pozostali mogli się nie poczuwać do obowiązku oddawania całego swego czasu, pracy, sił? O tych właśnie z dreszczem mówiono: „to ideowiec“.

Dziś? Dziś wielu, bardzo wielu ludzi pracuje ideowo, ale, proszę wierzyć, większość z nich — to nieznanani bohaterowie dnia codziennego, nie wciągnię-

ci częstokroć na listę żadnego stowarzyszenia, czy komitetu. To bardzo często ludzie, pracujący tylko... zarobkowo.

Jest też wiele, bardzo wiele owych zapracowanych, zaharowanych, goniących każdą minutę, zmęczonych ludzi, pracujących społecznie. Rano w biurze, w szkole, w urzędzie etc.; po obiedzie we wszelkich instytucjach społecznych, no i w domu.

Pracują świetnie, pierwszorzędnie, pracują częstokroć za wszystkich, którzy im się ofiarowali do pomocy.

I oto znowu pytanie: czy instytucje społeczne, w których dane jednostki pracują, nie powinny starać się o to, aby dać im u siebie pracę płatną, aby odciążyć ich nadmierny trud?

Pytanie drugie: czy wtedy taki ktoś — niezastąpiony zarówno w pracy organizacyjnej, jak wykonawczej, związany węzłami wspólnego celu i umiłowani — przestanie z chwilą pobierania pensji od danej instytucji nazywać się „ideowcem“, a zostanie zdegradowany, w myśl utartego komunału, do rzędu „zarobkujących“?

„That is the question“ — jak mówi duński król Lewicz.

Czy wogóle można powierzać odpowiedzialny urząd, referat, wydział etc. osobie, która będzie go pełnić... honorowo, ale po dyletancku, a nie dążyć raczej do tego, aby podobne funkcje były o ile możności płatne, powierzane fachowcom, co przecież wcale nie wyklucza, że owi fachowcy będą ideowcami?

Jak strasznie szwankuje praca w przeróżnych stowarzyszeniach, zarządach, komitetach etc., gdzie każdy podejmuje się wiele rzeczy zrobić, lub stale robić (o ile coś ważniejszego w tym czasie nie wypadnie), wiemy wszyscy. Np. dyżur w przedszkolu, w sekretarjacie, w kasie przed odczytem i t. d.

W pierwszym wypadku dyżuru nie było, bo przyjechała ciotka z prowincji (dawno niewidziana: dwa indyki, 4 słoje konfitur i wiadro miodu); w drugim wypadku „wypadało“ być u pp. X, bo to ich dzień przyjęć właśnie; w trzecim wreszcie — przysłano „kartki“ na koncert, czy do teatru, no i, oczywiście, nie można się przecież... aż tak poświęcać dla społeczeństwa.

Rezultat? Zniechęcenie mnóstwa osób, które garną się do pracy społecznej, obniżanie autorytetu stowarzyszenia, czy danej placówki i znowu moment aspołeczny, jeżeli wogóle nie antyspołeczny, oczywiście bez premedytacji, a... niechęący.

Czyż doprawdy nie należałoby tych bolączek tyłu naszych stowarzyszeń wziąć pod należytą rozważę?

Odpowiedzą mi: — a skąd środki? — I tu przechodzę do jeszcze jednej sprawy — sprawy świadczeń pieniężnych na rzecz organizacji. Jest to sprawa tak dziwnie u nas postawiona, tak nieprawdopodo-



bnie lekceważona, że ilekroć mowa o składkach, mam stale wrażenie, że panie członkinie uważają je wogóle za zło konieczne, jeżeli już nie za jałmużnę, czy coś w tym rodzaju.

O regularnem wpłacaniu niema naogół mowy, a kiedy suma zaległości rośnie, nie można jej uiścić, bo jest za duża. Należy się często do kilku pokrewnych związków, czy organizacyj, albo (o ironjo!) do bięgunowo przeciwnych pod względem ideologii; miesięczna ilość składek wynosi kilka złotych, no i, oczywiście, z wpłacaniem jest słabo. Uświadomienie organizacyjne jest tak nikłe, instynkt samozachowawczy, który powinien głośno wołać o konieczności zrzeszania się, tak mało rozwinięty, że organizacje, liczące nawet bardzo dużo członkiń, pod względem materialnym stoją częstokroć fatalnie. A przecież, gdyby tak miesięcznie wpływało kilka, czy kilkanaście tysięcy tytułem składek, możnaby dużo rzeczy zrobić; możnaby zacząć realizować ten ważny postulat zatrudniania pracą społeczną jednostek wybitnych, fachowych, płacąc im za tę pracę.

Możnaby zakładać instytucje dochodowe, likwidując powoli straszliwy sposób zdobywania funduszków drogą urządzania bali, koncertów, dancingów dobroczynnych... Ile sił, ile czasu pochłaniają te imprezy „dochodowe“! ile niesmaku pozostawia ta żebrania o śpiew, fortepian, deklamację etc... Ile deficytu niekiedy za sobą pociąga!

Ileż to trudu wymaga urządzenie odczytu! Ile to się trzeba naprosić, aby nawet panie-członkinie ra-

czyły przyjść, a cóż dopiero — osoby obce! Bilety wyznacza się po cenie minimalnej, prelegentkę też trzeba „uprosić“, a panie, które nie wahają się nigdy przed wydaniem kilku, czy kilkunastu złotych za bilet, gdy przyjeżdża gwiazda kabaretowa, piosenkarz, czy baletmistrz, — na odczyt, czy na imprezę stowarzyszeniową... nie mają pieniędzy. I tak pecha się taczkę owych społecznych poczynań; tysiąc spraw kuleje, tysiąc spraw zawodzi, rozwija się jałmużna myśli, jałmużna czasu, jałmużna entuzjazmu. Przepracowanie, rozpraszenie się na sto rzeczy, którym trudno podolać; poczucie odpowiedzialności tylko z jednostek, przy zupełnym jego zaniku u ogółu, no i, oczywiście, z jego strony krytyka najostrzejsza.

A czas najwyższy, aby zacząć naukę abecadła pracy społecznej. Bez tego ani rusz. Ani szumne hasła, ani wzniosła ideologia, ani pięknie brzmiące frazesy nie pomogą, jeżeli nie będzie poczucia odpowiedzialności w spełnianiu każdego drobiazgu.

Czas też najwyższy, aby organizacje kobiece rozpoczęły rewizję owych pojęć „zarobkowo“ i „ideowo“, aby zaczęły gromadzić w swoich kadrach jednostki, które, odciążone od pracy zarobkowej, mogłyby swój czas i wiedzę fachową poświęcić organizacji, oczywiście za odpowiednie wynagrodzenie. Myślę, że wtedy praca poszłaby zupełnie inaczej, umocniłyby się fundamenty, a rezultaty byłyby tak widoczne, że zmniejszałyby się z dnia na dzień rzesza analfabetek — kobiet niezorganizowanych.

Janina Strzelecka.

LUCYNA KRZEMIENIECKA

## W I E Ź A

*Przyglądam się z niepokojem,  
ale nie pytam, poco  
wiezę fałszywych przysiąg  
moim dniom budujesz i nocom.*

*Budujesz ją przecież z mozolem,  
wznosisz z zapalem ogromnym,  
choć masz ją za chwilę rozrzucić,  
choć masz o niej za chwilę zapomnieć.*

*Pomagam Ci w misternej budowli;  
żeby trud Twój mógł prędzej dojrzeć,  
daję czyste srebro uśmiechów.  
daję szczerze złoto spojrzeń.*

*A całunki na długą nitkę nadziei  
narolekam, jak szkielka,  
i czekam, aż do wieży, wieży nieopatrznych przysiąg  
ostatnią wmurujesz cegiełkę.*





HALINA IZDEBSKA

## OBLICZE MIŁOŚCI

1)

## I.

Czar Juanity polegał nie na blasku jej oczu, wielkich, wilgotnych i tak czarnych, że niemal błękitnych; nie na nieprzebranej młodości jej uśmiechu, zjawiającego się zawsze trochę niespodzianie. Trudno było nie zwrócić na nią uwagi dlatego głównie, że wzrok jej odwoływał się zawsze, nieświadomie a nieomylnie, do owego ciemnego *pierwiastku męskiego*, drzemiącego w każdym mężczyźnie. W niedzielę, idąc z rodzicami na mszę do kościoła, lubiła zderzać się spojrzeniem z przechodniami przez jedną niewysłowioną chwilę — i wracała potem do domu zmieszana trochę, jakby się coś naprawdę zdarzyło.

Zdawało się jej zawsze — a także tym, którzy spoglądali na nią — że przeznaczeniem jej być musi miłość otchłanna, „równie od życia daleka, jak śmierć“. A jednak...

To nieuniknione „jednak“ odczute przez nią zostało po raz pierwszy w ciągu znajomości jej z kontrabandzistą José.

Kiedy spojrzenie jego po raz pierwszy spotkało się ze spojrzeniem dziewczyny, José stanął i długo śledził wzrokiem jej wysmukłą a silną postać. Twarz jego o płowym zaroście przypominała lwa z afisza, zapowiadającego w miasteczku przedstawienia cyrku wędrownego. Juanita nigdy jeszcze nie widziała takiego olbrzyma. Jego ramiona mogły, zdawało się, tylko ścisnąć, albo mordować! Owej nocy zobaczyła go we śnie: stał przed nią i mówił, że ją kocha; i ten sen zbliżył ją do niego bardziej, niżby to uczynić mogło istotne spotkanie.

Później Juanita widziała go kilkakrotnie, kiedy ją mijał szybko, zdając się nie zwracać na nią uwagi. Raz jednak podszedł do niej; wydał się jej trochę pijanym. Powiedział, że dla niej, wyłącznie dla niej powraca teraz ciągle do tej wioski; że nigdy nie śmiał jej wyznać, co uczuł dla niej od pierwszego spotkania, i że błogosławi dzisiaj swoje odurzenie winem, które uczyniło go śmielszym... Jego herkulesowa postać dawała szczególną wartość nieśmiałości tego wyznania; i dziewczę przebudziło się nazajutrz, jak w dzień świąteczny, z wszechwładnym wrażeniem, że ma wspomnieć coś niezmiernie radosnego. Juanita ubrała się i wyszła dnia tego z nadzieją spotkania José. Zobaczyła go istotnie. Był z nieznanym jej mężczyzną i przeszedł obok, nie spojrzawszy na nią.

„Jakie to dziwne!“ — pomyślała Juanita. „Nigdy jakoś nie rozmawiam z nim naprawdę: raz w moim śnie; raz, kiedy był pijany“.

Nie udawało jej się jednak w żaden sposób nie

myśleć o nim. Starła się wyobrazić sobie, jakim byłby dźwięk jego głosu, gdyby wymówił to słowo miłości, którego od niego w rzeczywistości nigdy nie słyszała. Udawało się to zresztą tak dalece, że, przestając marzyć, musiała czynić dodatkowy akt *przekreślenia*, aby zrozumieć, że właściwie raz jeden tylko rozmawiali ze sobą.

Nastąpił jednak dzień, tak gorąco upragniony. Kochał ją; wszystko, co jej dotyczyło, stawało się dla niego przedmiotem kultu. Pokrywał pocałunkami szal na jej ramionach, jej suknię, jej bosc stopy. Kiedy patrzył na nią, oczy jego stawały się tak nawskroś przepojone uwielbieniem, że serce dziewczyny ścisnęło się nieskończoną rozkoszą. Juanita myślała o jego twardym życiu kontrabandzisty, smaganem przez niebezpieczeństwo i wichry. Przypominała go sobie, jak szedł raz z towarzyszem pośrodku ulicy, rozprawiając niedbale. Odnawiając w ten sposób obraz mężczyzny, który ją kochał, odczuwała upojenie swoje jakby w nowej potędze. I zapytywała siebie: „A ja, czy go kocham? Ale bo w jaki sposób wiedzieć, czy się kocha?“.

Raz, kiedy powtarzał jej „kocham“ z bolesnym skurczem całej twarzy, jakgdyby mówił „cierpię“, zapytała cicho:

— A skąd pan o tem wie?

Drgnął niespodzianie. Popatrzał na nią, jak na niedorzeczne dziecko:

— Wiem, aż zanadto — odpowiedział głucho.

I wtedy dopiero zrozumiała. Miłość musi przynosić ze sobą światło własne. Dopóki całe jestestwo nasze nie szamoce się w bolesnym bezmiarze tej pewności kochania, nie kochamy jeszcze.

Wkrótce potem znów ujrzała go we śnie: milczący i straszny, wziął za rękę siostrę Juanity (siostrę-widmo, której ten sen jedynie dał przelotne istnienie) i przewrócił na łóżko...

Znajdowała go teraz dziwnym, zmienionym. Porzucał ją nagle, bez słowa pożegnania. Czasami stawał się natarczywym, nalegał, aby go pocałowała; i Juanita, czując zapach ohydneho tytoniu, jaki palił, zapytywała się ze smutkiem, jak można mieć dla kogoś tyle tkliwości — i nie kochać go — i czuć zgrozę wobec samej myśli o jego pocałunkach...

Raz twarz jego stała się straszna, jak w owym śnie ostatnim... Wziął ją za rękę, ścisnął je do bólu, oczy jego przybrały wyraz natężonej nienawiści. Orzeł płynął nad nimi w przestworzu, pod niebem, które zdawało się ruchomem. Krzyknęła, i uciekła od niego, i nie zobaczyła go już nigdy więcej.



## II.

Rodzice Juanity mieli domek dosyć obszerny i tak malowniczo położony w dolinie, że często ktoś nowoprzybyły do wsi odnajmował u nich pokój. W ten sposób dziewczyna zaznajomiła się kolejno z młodzieńcem studentem z Barcelony i z malarzem-cudzoziemcem; i oto odczuć mogła raz jeszcze to, co ją czyniło odmienną od innych: swą niezdolność kochania.

— Widzisz, jestem u twoich stóp — mówił do niej młody Pablo. — Nigdy, z żadną jeszcze kobietą nie byłem takim, jak z tobą. I że też ty, jedyna, którą pokochałem, jesteś tą jedyną właśnie, która mnie nie kocha!

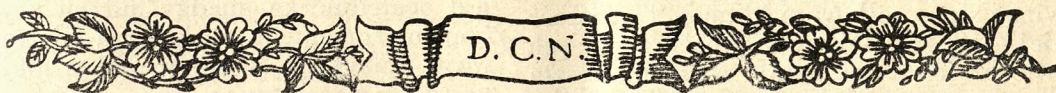
Mówił jej jeszcze:

— Gdybyś ty czuła dla mnie choć połowę, chociaż drobną cząsteczkę tego, co ja czuję! Ach, chciałbym, żeby się ktoś zemścił za mnie, żebyś i ty poznała kiedy oblicze miłości!

— Ależ bardzo chętnie — z uśmiechem odpowiadała Juanita. Lubiała ona serdecznie tego młodzieniasz-

ka, tak wesołego z początku, a którego twarz bladła teraz często pod jej spojrzeniem, jak wobec jakiejś otchłani szczęścia i cierpienia. Ale myślała niejednokrotnie: „Gdybyż był przynajmniej bardzo piękny, albo też o wiele, o wiele mądrzejszy odemnie!“ — I wobec umiarkowanej słodczy wszystkiego, co przychodzi w życiu, myślała mimowoli, że jest on może jednak szczęśliwszym od niej...

Malarz najlepiej nadawał się do melodji jej romantycznych marzeń dziewczęcych; z dalekiej Północy przyniósł tajemnicę krajobrazów, których ona nigdy znać nie będzie; duszę bardziej złożoną, o naturze wrażliwości nieuchwytniej dla Juanity. Lubiała jego harde imię „Erik“, w którym samogłoski i spółgłoski splatają się w równej mierze, zderzają się, jak katanjety, lub parami płasają po murawie. Serce jej biło mocno, kiedy, nie patrząc na nią, mówił, ile razy wychodził z jej domu, z zamiarem, aby więcej nie wrócić — i jak nie mógł, nigdy... Odwracała się wówczas ku niemu — ale wtedy każdy rys jego twarzy dlatego, że był takim właśnie, a nie innym, stawał się dla niej nagle, niby słup graniczny.



STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW

## OSTATNIA SYBILLA

(Maryla Wolska, w świetle własnych utworów).



ś. p. Maryla Wolska.

„Wiem, że coś idzie i że coś się stanie,  
że jakieś wielkie czasy idą zdala  
I że niepróżno duchem czekam na nie“.

Święto Słońca.

Młodość Maryli Wolskiej zbiegła się z ostatnimi latami wieku XIX. Były to lata ciszy przed burzą. Świat dusił się w swojej skórze, jak ślimak w skorupie, a nie miał jeszcze dość sił i odwagi, aby ją zrzucić. Równowaga europejska zdawała się być niezachwiana. Wszystkie kraterzy ducha - wiecznego rewolucjonisty zalano kitem pozytywizmu. Jakby formułka mogła zasklepić wulkan! Ale ludzono się do czasu.

Pod powierzchnią życia, wrzał ferment podziemny. Pod wysokim ciśnieniem nagromadzonych, a nie uzewnętrznionych odruchów niezadowolonia, protestu, buntu, wypalały się nowe formy myślenia, mgławice, nie odziane jeszcze w ciało czynów, embrjony hasel, jeszcze niezdolne do poruszenia mas, ale budzące w nich podświadomą pewność, że oto zbliża się wielka przemiana, nadchodzi nowe życie.

Ten, w całym świecie niejako bezprzedmiotowy, nastrój oczekiwania w Polsce miał swoje własne, natchnione oblicze. Czasem z tego oblicza patrzyły anielskie oczy Eloë, strażniczki grobów, urodzonej ze łzy Chrystusa, wylanej na Krzyżu nad narodami; czasem promieniało ono nieziemską pięknocią Grotgerowskiej Beatrice, prowadzącej wędrowca w dolinę łez i krzywdy; czasem były z niej błyski piorunowe Rozy



Wenedy, matki przyszłych mścicieli — ale zawsze było to oblicze poezji, wieszczącej zmartwychwstanie.

U schyłku w. XIX była to już jednak tylko twarz mumji, na którą nakładano coraz to inne maski. Ostatnią z tych masek zerwał Wyspiański, ukazując pod nią trupie oblicze umarłego romantyzmu. W tym pozornie świętokradczym geście tail się rozpaczliwy odruch woli życia, przeciwstawiającej się narodowemu kultowi ofiary i śmierci, który rytualnym całunem coraz bardziej przesłaniał pierwotną religję zmartwychwstania. Był to zarazem akt tragicznej rewizji kanonów narodowych, która dokonywała się w łonie współczesnego pokolenia.

W ognjach tego tragizmu epoki schyłkowej dojrzewała dusza Maryli Wolskiej. Była tej epoki nieodrodnym dzieckiem, wyrazem i ofiarą. Świadomość zbliżającego się przelomu łączy się u niej z poczuciem, że ona sama przyszła na świat za późno i za wcześnie. Teraźniejszość jej nie zaspokaja, musi szukać ujścia we wspomnieniach i przeczuciach, w przeszłości i przyszłości. Ta przeszłość — to romantyzm; przyszłość — wielka Niewiadoma.

Między temi dwoma światami szarpie się dusza poetki: zbyt silna, aby bezkrytycznie ulegać nakazom tradycji; zbyt słaba, aby stworzyć sobie rzeczywistość wedle własnych pragnień i potrzeb indywidualnych. Jak drzewo, rozdarte piorunem, żyje jednocześnie dwiema połowami swej duszy, z których żadna nie może rozwinać się w całkowitą koronę. Twórczość Maryli Wolskiej — to kopalnia możliwości, z których drobna zaledwie część osiąga pełnię wyrazu. Reszta jest jakby zahamowana w pół drogi, stłumiona, zanim doszła do głosu, podcięta przed rozkwitem, zduszona w zarodku.

Źródłem tego osobliwego zjawiska jest dualizm, tkwiący w samej indywidualności poetki. Natura żywiołowa, o przebogatych zmysłach, zdolna do wielkich namiętności, w najpiękniejszym tego słowa znaczeniu pierwotna, a zatem bliska swego pra-źródła — przyrody — dobrowolnie nakłada sobie pęta wyrafinowanej kultury duchowej. Dziecko słońca, radosna pogan-ka idzie pokornie na służbę w katakumbach życia narodowego. Ale już na progu opada ją zwątpienie. Wsłuchana w głosy nieba i głosy ziemi, nie wie, jaką ma wybrać drogę. Jednak ją kuszą ognie kupalne i stopy ofiarne, miłość i dziewictwo, sława i dumne jej wyrzeczenie się.

„Kochałam siebie i Słońce,  
Niczyja byłam, niczyja...  
Kochałam Sławę i siebie!”

wyznaje poetka ustami Kleopatry.

Ale miłość słońca i siebie nie wystarcza. Rozkochany w sobie narcyz szuka w życiu czegoś więcej, niż tylko swego własnego odbicia. Pragnie się utrwalić w czemś, co nie przemija, a znajduje tylko znikomość wspomnień i przeczuć: „sny moje, sny bezpotomne”.

Dziecko słońca jest zarazem pogrobowcem romantycznego weltszmercu. Instynktownie rwie się do szczęścia, organicznie potrzebuje radości życia, a jednocześnie, dziedzicznie obciążone smutnem doświadczeniem pokoleń, w możność tego szczęścia nie wierzy.

„Snom moim żaden dzień nie sprostaf”. (Ognie kupalne).  
„Śniło mi się, co nigdy w życiu się nie wyśni”...

Wobec intensywności przeżyć wewnętrznych, świat zewnętrzny blednie, niknie, jak sen, przechodzi bez wrażenia.

„Ledwie wiemy, że to życie własne nam się śni”...

Świadomość nieziszczalności snów, niewspółmier-ność marzenia z rzeczywistością powoduje dumne od-separowanie się od walk życiowych, wyrzeczenie się możliwych zwycięstw rzekomo w imię ochrony swego „ja” od zagłady, w imię ocalenia swej olimpijskiej po-stawy wobec życia. W Balladzie o Doli-Królewnie nadmiar szczęścia zabija, miłość urzeka na śmierć. Może poetka jest poprostu jedną z tych urzeczonych i sztukę traktuje, jako ucieczkę od życia, jako klapę bezpieczeństwa dla skondensowanych i tłumionych namiętności, skazanych na zagładę przez dobrowolną nieprodukcyjność? Tak, czy inaczej, widzimy w Ma-ryli Wolskiej silną tendencję do wywyższania się w ima-ginacji, cofnięcie się poza siebie w świat abstraktu. Żywiołowa natura buntuje się przeciw temu sztucznie narzuconemu kierunkowi, który, krępując jej natural-ny rozwój i zacieśniając horyzonty, uboży ją o całą skalę niewyzyskanych możliwości.

Zaczyna się instynktowne szukanie wyjścia z błędnego koła samowystarczalności uczuciowej na drodze wzniosłych teoryj o posłannictwie poety-wie-szcza. Poetka wzbudza w sobie mętną świadomość, że jest pośredniczką między ludźmi a wiecznością; czu-łym instrumentem, na którym siły kosmiczne wygry-wają muzykę zaświatów. Nie z niej idzie pieśń, ale przez nią przepływa.

„Pieśń zmartwychwstająca  
Jakieś zaklęcia rzuca mi tajemne,  
Obce, swą mową głoszone nieznaną,  
Wyraży jakieś, co nie idą ze mnie”.

A dalej:

„Pieśń ta rwie się ze mnie w świat — niemoja!”.

A zatem jednostka wybrana głosi wieczne prawdy. Mamy tu do czynienia z nawskroś roman-tycznym mistycyzmem. Zależność od jego ideowych kanonów uwypukli się jeszcze bardziej, gdy się do-wiemy, dla kogo właściwie jest przeznaczona ta pieśń z zaświatów.

„...Leć! tych poszukaj, co cię ongiś znali,  
Tych, co cię teraz jeszcze zrozumieją.  
Tych, co na głazy schodzą się runiczne  
W bieli, — piolunu wieńczeni szarfami...  
...I przed innemi święcą rzeczy one,  
Co oczom w mgłach się tają — zasłonione!”.

A zatem poczucie duchowego braterstwa z gu-ślarzami, nawrót do pierwotnych wierzeń słowiań-skich, do magji ludowej, jak u romantyków. To są drogi, które poetka dochodzi do religii ekstazy. Osiągnięcie „zwycięskiej nuty życia” — oto cel naj-wyższy i jedyny. Jej „Inwokacja” — to radosne wy-znanie wiary w irracjonalną potęgę zachwytu.

„Anielskim chlebem zachwyceń przełamać się z ciszą wyżyn, zagwiezdnych oddechów przestrze-ni napić się i nie wyznać nikomu nigdy, co mówiły gran-atowe tonie nocy, co zataiły gwiazdy”.

W tym obrazie ekstazy uderza drapieżna za-chłanność i żądza wyłączności: „nie wyznać nigdy ni-



komu“, nie podzielić się z nikim swoją duchową zdobyczą. Ostateczny wynik zwycięstwa w danym wypadku przekreśliłby teorię posłannictwa, sformułowaną w poprzednio przytoczonych urywkach, a rozwiniętą w pełny program ideowy w „Śwancie“.

Wtajemniczenie byłoby wyłącznym udziałem jednostki wybranej. Na poetce urywałby się łańcuch wieszczych porozumień między nieskończonością, a człowiekiem. Ekstaza byłaby momentem czysto indywidualnej rozkoszy, równie bezpłodnej dla duchowego wzrostu zbiorowości, jak samotniczy triumf Mickiewiczowskiego Farysa.

Poetka omija nieuniknione pozornie starcie się dwóch przeciwnych sobie prądów: krańcowego egotyzmu i bezwzględnej poświęcenia się jednostki gromadzie, naturą samej ekstazy uzasadniając niemożliwość jej wypowiedzenia, a zatem i ewentualnego przekazania ludzkości jej owoców.

„Niema słów bowiem na najwyższe rzeczy,  
Braknie wyrazów już padolnych tam —  
Gdzie dech zamiera muzyce,  
A cisza poczyna mówić niezmacone  
Przedwieczne, przezyste prawdy“.

Z poetyckiej frazeologii wyłania się to, co Przybyszewski i jego epigoni zwykli byli zwać absolutem. Wkraczamy w dziedzinę pojęć oderwanych, w metafizykę poezji, której grozi niebezpieczeństwo rozplynięcia się w próżni. To niebezpieczeństwo staje niejednokrotnie na drodze poetyckiego wyrazu Maryli Wolskiej. Jej natura przewrażliwiona łatwo ulega sugestii słowa, traci nad niem władzę, jest przez nie opatowana, oczarowana — opętana pieśnią, która rwie się w niej w świat na skrzydłach podświadomości.

Ten nastrój twórczy, obnażający duszę aż do najgłębszych jej pokładów nie drogą autoanalizy, ale intuicyjnej, że użyjemy tu nieco zbanalizowanego określenia, natchnionej introspekcji — jest objawem najwyższego napięcia władz duchowych, które, nie znajdując ujścia poza sobą, spalają się niejako same w sobie i dla siebie.

To duchowe „auto da fe“ nie daje ukojenia, przeciwnie: wzmaga głód, nienasycenie, poczucie samotności, które poetce niewątpliwie ciąży, ale którego się wyrzec nie chce, na które się sama z jakąś dumną zawziętością skazuje.

„Nieprzyswojony niczem, głodny ptaku,  
Duszo ty moja własna, harda duszo,  
Strzeż się zabłąkać sama w sobie!“  
„...Ty się krwaw  
I ty się, duszo, sama w sobie pal“...  
(Hymny Milczenia).

Wśród posążków bóstw słowiańskich, modelowanych własnoręcznie przez samą poetkę, a zreprodukowanych, jako ilustracje do „Ogni kupalnych“, jest postać boga Swantowida o dwu obliczach. To wizerunek duchowy Maryli Wolskiej. Z jednej strony surowe oblicze kapłanki, o rysach zastygłych w hieratycznej powadze; z drugiej — radosna twarz dziewczyny, „co w las poszła o świecie, z dzbankiem, na jagody“. Tu asceza, tam — tęsknota do „obiecanej ziemi serca“.

Czy może być coś bardziej uroczego, zwiewnego, niedośpiewanego, jak przedwiośnie miłości? Czy jest uczucie bardziej niematerialne, bezcielesne, wyjałowione ze zmysłowości, jak miłość zagrobową? Mi-

styczne zaloty kobiety z widmem, odziane w szatę rozlewniej prozy — to „Thème varié“. Różnym momentom miłosnego przedwiośnia poświęcony jest zbiorek obrazków i impresyj p. t. „Dziewczęta“. Misternie szlifowane okruszki psychologii podlotków, puchy uczuć niewyznaczonych, kryształki łez, wylanych w tajemnej rozpacz miłosnej lat szesnastu.

„Egzaltacja!“ — sformułowałyby karcąco nasze prababki, właśnie dlatego, że same były uosobieniem egzaltacji. „Dziewczęta“ Maryli Wolskiej — to też zjawiska epoki schyłkowej, ofiary przedwojennego systemu wychowania; kwiatki, pędzone sztucznie w cieplarni wszelkich „wypada“ i „nie wypada“; w atmosferze, naładowanej erotyzmem, o którym mówić nie było wolno, ale którym oddychało się głęboko, aż do dna duszy. Te dziewczęta, myjące długie włosy w rozmarynie, w duszną noc lipcową marzące o miłości, jak o objawieniu — to coś więcej, niż luźny nastrojowy obrazek: to dokument duszy kobiecej z pewnej określonej epoki, to zarazem świadectwo niezniszczalnego geniusza gatunku, pod którego nakazem każde nowe pokolenie budzi się do życia i do płodności.

Ale oto wpoprzek tym odwiecznym prawom staje szlachetne doktrynerstwo. Czy ta, której dano władzę wieszczona, ma prawo po ludzku być szczęśliwą? Wybrańcy pogardzają tem, co jest dobre dla tłumu. Szukają rozkoszy wyższych, niedostępnych jednostkom przeciętnym.

Nietscheańska teoria nadczłowieka ulega tu znamiennej sublimacji. „Pańskość“ Maryli Wolskiej nie wyraża się w podporządkowaniu wszystkiego i wszystkich supremacji swojej woli, ale w wyrzeczeniu się dóbr ziemskich w imię wyższego posłannictwa. Ta forma ascezy nie ma w sobie jednak nic z chrześcijańskiego mistycyzmu. To raczej gałązka zielona na zmurszałym pniu mesjanistycznym, zasłana sokami nigdy nie sytej kobiecości, szukającej zaspokojenia tęsknot poza przyrodzonymi kryniami życia.

Tak powstała „Swanta“, legenda dramatyczna o dziewicy-kapłance, przynoszącej bogom w ofierze życie ukochanego wzamian za zwycięstwo swego narodu nad wrogiem. Z pod runicznej szaty prasłowiańskich wierzeń i obrzędów przegląda istotna treść utworu: marzenie o samej sobie, wcielone w postać imaginacyjną i symboliczną, która jest wyrazem romantycznego stosunku poetki do rzeczywistości. Tragizm Swanty jest tragizmem natury egotycznej i erotycznej, której wszechświat objawia się przez miłość. W wyrzeczeniu się tej miłości, która jest właściwym jej żywiołem, tkwi fatalne nieporozumienie. Ten konflikt czysto osobisty podniesiony został w legendzie na wyżyny konieczności dziejowej. Kobieta wybrana, wieszczka-samotnica, świadomie zadająca śmierć swemu ukochanemu w imię dobra ojczyzny, idąca na stos z nakazem nieustającej walki dla swego narodu — to jeszcze jedna Cassandra, jeszcze jedna Roza Weneda, matka mścicieli, zapłodniona popiołami, młodsza siostra Sławy i Nike Wyspiańskiego.

Jest ona ostatniem ogniwem w łańcuchu wielkich wtajemniczonych, inspiratorek i prorokiń, wiążących przeszłość z przyszłością narodu.

Razem ze Swantą Maryli Wolskiej, ginącą dobrowolnie na stosie ofiarnym, umiera ostatnia Sybilla polskiej poezji pogrobowej\*).

\* O „Arturze i Wandzie“ i o „Dzbanku malin“, „Bluszcze“ drukował obszerniejsze sprawozdania w roku ubiegłym.



J. PUTIATYCZ - SURYNOWA

## CZAR UŚMIECHU

*Uśmiech — to kwiat życia. — Uśmiech, jako czynnik pedagogiczny. — Różne gatunki uśmiechu. — Zwichnięta karjera i złamane życie. — Kto minien? — Uczmy się od chinek. — Co mówi Sieroszewski? — Spróbujmy!*

„Un voyage sans soleil, c'est une longue tristesse“.  
Eugénie de Guérin.

Życie ludzkie, nie opromienione słońcem uśmiechu, przypomina taką długą i smutną podróż. Bo uśmiech — to kwiat życia, to jego czar...

Uśmiech... Jakże rozkoszne jest to bobo, które w uśmiechu ukazuje nam otwartą buźkę! Jakże pięknym jest serdeczny, żywiołowy śmiech młodości! Jakże wzruszająco wyglądają te babunie Nałkowskiej („Dom kobiet“) i Zapolskiej, te „babunie srebrnowłose, otoczone wnucętami, królujące w swych fotelach, uśmiechnięte w obramowaniu śnieżnych koronek czepków“...

Uśmiech...

\*

Wychowując nasze dzieci, dbamy o ich rozwój fizyczny i umysłowy. Staramy się, aby z naszego dziecka wyrósł człowiek mądry, człowiek szlachetny i człowiek zdrowy. Mało jednak troszczymy się o to, by wyrósł człowiek... szczęśliwy. Marzymy o tem



...Jakże rozkoszne jest to bobo, które w uśmiechu ukazuje nam otwartą buźkę...

szczęściu dla naszego dziecka, myślimy o niem, ale nie realizujemy tych naszych marzeń i naszych myśli. Przeciwnie: tłumimy od dzieciństwa przyrodzoną jego wesołość, śpiewamy mu nad łóżeczkiem tęskne kołysanki (jakże bałam się tego „dziada“, co „wyciąga rękę“ i któremu „pies rozerwał sukienkę!“). Opowiadamy mu smutne bajki i straszymy policjantem, niesympatyczną ciotką, lub surowym, marsowym pułkownikiem. Gdy dziecko podrośnie, pytamy się je często: „Czemu się znowu tak śmiejesz?“. I jeszcze: „Nie śmieć się tak bezmyślnie“. „Nie śmieć się tak hałaśliwie“. „Przestaniesz się nareszcie śmiać?!“...

Tłumimy w ten sposób w dziecku jego samorodną wesołość.

A szkoła? Jakże rzadkimi wyjątkami są pedagodzy, którzy potrafią opowiedzieć, podczas wykładu (nie odbiegając od przedmiotu) wesołą anegdotę, dowcipną przypowieść, czy zrobić humorystyczne porównanie! Ci, którzy to potrafią, słuchani są z zainteresowaniem i... bardzo kochani.

Uśmiechajmy się więc do naszych dzieci — odpowiedzą nam tym samym uśmiechem. Uśmiechajmy się, bo uśmiech jest zdrowy, bo uśmiech jest piękny, bo uśmiech rozjaśnia oczy i... dusze. Uśmiechajmy się do naszych dzieci, a będą nam one w domu „żywem srebrem“ i „szczerem złotem“, którego ruchliwości i blasku nic nie będzie w stanie sflumić. Uśmiechajmy się do naszych dzieci serdecznie, często i... niefrasobliwie. Śmiećmy się głośno i szczerze. Śmiećmy się, aż do łez. A odpowiedzą nam tem samem, bo śmiech jest... zaraźliwy.

\*

Są różne gatunki uśmiechu.

Są uśmiechy: dobre, przyjazne, szczerze i... niewinne.

Są inne: złe, fałszywe i... bolesne.

Te ostatnie, niestety, wykwitają często w czterech ścianach niedobranego małżeństwa i zatrują swym jadem duszę dziecka. A kiedy takie dziecko dorosnie — zacznie się uśmiechać: gorzko, zjadliwie i... ironicznie, bo tak je uśmiechać się nauczono.

\*

Uśmiechajmy się...

Dlaczego się nie śmiećmy? Czasami mam wrażenie, że my, polacy, wogóle śmiać się nie umiemy. Że jesteśmy narodem, który chronicznie „w całym dziury szuka“, który martwi się tem, „co jest“, „co było“ i „co, przypuszczalnie, będzie“.

Każdy polak ma bezwarunkowo „jakiegoś mola, co go gryzie“.

Każdą polkę „coś zjada“, lub „coś zabija“. Co drugi polak ma „zwichniętą karjerę“, co trzeci — „złamane życie“, a wszyscy razem „gryzą się czemś“, „kwaszą“ i wylewają „fontanny łez“ (patrz — Zapolska: „Mazgajstwo nie powinno wchodzić w nasz program życiowy“...).





...Uśmiech powinien być częstym gościem na każdej twarzy kobiecej...

Na litość Boską — dlaczego?!

Przecież nie jesteśmy narodem melancholików — przeciwnie: w naszym mazurze jest „taka dusza, że choć umrze, to się rusza“... Przecież, zacząwszy od humoru Imci Pana Reya z Nagłowic, poprzez setki frazsek i bajek naszych satyryków i komedjopisarzy, poprzez niezrównane typy Zagłobów — śmiejemy się szczerze razem z Makuszyńskim, Boy'em i Wierzyńskim... Więc co?

Oto mam wrażenie, że winne jesteśmy tu my — kobiety. My nie umiemy się śmiać (za wyjątkiem salonu, gdzie potrafimy być czarujące). My nie mamy humoru. Jesteśmy dowcipne, inteligentne, cięte, sarkastyczne, ale nie mamy humoru. Ani w domu, gdzie jesteśmy zmęczone, zgorzkniałe i jęczące. Ani na zebraniach kobiecych organizacyj i instytucyj, gdzie zawsze: „utyskujemy na jakieś bolączki i niedomagania“.

Czy ten brak humoru — to wada ogólnokobieca, czy wyłącznie nasza, polska?

Niestety, mam wrażenie, że wyłącznie nasza.

Bo we Francji, w klubie kobiecym, czy w kawiarni kobiecej, aż się ściany trzęsą od śmiechu.

Bo... Ameryka ma artystki filmowe, tak pełne humoru, jak Bebe Daniels i jak Mary Pickford.

Bo... w Svünemünde widziałam rybaczki, zanoszące się rubasznie od śmiechu, pomimo, że nie było ani jednego... mężczyzny.

Bo... o belgijce powiedział Maeterlinck:

— „Szukamy towarzystwa kobiet, ponieważ mają one dar uśmiechu“.

A w Polsce?

Odwołam się do literatury, bo ona najlepiej odmalowuje typ kobiety-polki. Szukam z mozołem... humoru i znajduję wesołą „Klarę“ Fredrowską i niezrównanego „Hajduczka“ Sienkiewiczowskiego i... koniec.

Czemu tak jest? Nie rozumiem. Nie jesteśmy więcej przepracowane od francuzek i amerykańek (przeciwnie). Nie jesteśmy mniej kochane (przeciwnie). Jesteśmy od nich bezwzględnie inteligentniejsze i bardziej wykształcone. Umiemy być dowcipne (Rozdiewiczówna, Szpyrkówna i całe szeregi choćby współpracowniczek „Bluszczu“). Mamy talenty kobiece w świecie malarskim, aktorskim i literackim.

Dlaczego rzadkością jest uśmiech w naszej sztuce

ce i literaturze? Uśmiech nie powinien być kwiatem cieplarnianym. Uśmiech musi być kwiatem zwykłym, miłym i... dostępnym dla każdej twarzy kobiecej.

Uczmy się od chinek.

W Chinach nieuprzejmością i niegrzecznością jest, witając się z kimś, okazywać mu swój smutek i swoje niezadowolenie. Witając się w Chinach... trzeba się uśmiechać. Powiecie mi, że uśmiech w Chinach jest nieszczerzy, i że takiego uśmiechu nie chcecie?

Zapytajmy o zdanie Sieroszewskiego, który Chiny tak dobrze zna. Zapytajmy się: co on myśli o powitalnym ich uśmiechu?

„Uśmiech powitalny — mówi on — wywołuje drugi uśmiech, który idzie mu na spotkanie (bo uśmiech jest zaraźliwy). Mimowoli, pod wpływem tych narzuconych uśmiechów, rozmowa staje się pogodna. Pogoda ta, z początku sztuczna, prześwieśla się w końcu odblaskiem uśmiechu aż do dna duszy i staje się szczerze wesoła.

Bo uśmiech ma swój czar“...

Tak mniejwięcej mówi Sieroszewski.

Spróbujmy naśladować chinki.

Wyjdźmy na miasto, czy nad morze, w góry, czy na łąki... uśmiechnięte. Będziemy witać się, rozmawiać, kupować, pracować, spacerować, kochać się, zdawać egzaminy, przemawiać na zebraniach kobiecych, witać naszych mężów i całować nasze dzieci... uśmiechnięte!

Jutro spróbujmy.



...Szczery uśmiech, wprzód nim wyznanie miłosne, śmiadczy o budzących się uczuciach dwojga młodych...

Photo Paramount.



## KULTURA ESTETYCZNA

### NARODZINY STYLU.

Styl jest najlepszym wyrazem kultury estetycznej każdej epoki. Nie powstaje on jednak cudem z niczego, przeciwnie: skryształowanie się jego poprzedza długi szereg prób, usiłowań, niezawsze idących po linii prostej; niekiedy, ta linja rozwojowa bywa pełna zakosów i załamań, wiodących na bezdroża. A ten proces krystalizacyjny danego stylu nigdy się nie kończy: każda chwila wprowadza zmiany w jego zasobie form, te formy żyją wprost życiem jestestw organicznych, coraz to w inne łączą się skojarzenia, w innych ujawniają się zespołach, jednym słowem — posiadają zmienność istot żywych. Dopiero z oddalenia stuleci każdy okres danego stylu wygląda, jak coś spokojnego, niezmiennego, skryształowanego do najdrobniejszego szczegółu. Pamiętając o tem, nie dziwny się wcale, jeżeli we współczesnych dążeniach do stylu znajdziemy tak wiele różnorodnych niedomagań! Nieskończona zmienność życia będzie ich macierzą: walka tysiącznych indywidualności, łamiących się ze sobą i z formą, mozolne zmaganie się z potrzebami, upodobaniami, kaprysami, z modą i żądzą oryginalności za każdą cenę!

A więc nigdy nie będziemy mogli uchwycić tego rodzaju zjawisk, w bezwzględnym pozostających spokoju, przeciwnie: będziemy mieli do czynienia z nieustannie, w oczach naszych, dokonującą się przemianą; z tym faktem trzeba się poważnie na każdym kroku liczyć, albowiem niejednokrotnie stwarzając on będzie złudzenia, że to wszystko, cobyśmy już stylem nazwali, jest tylko czechem szukaniem formy. Ten fakt bardzo utrudnia sądy o artystycznej wartości wytworów sztuki współczesnej. Najniezawodniej wiele, bardzo wiele przedmiotów, uważanych chwilowo za doskonałe, niedaleka przyszłość usunie w cień i zapomnienie; nie brak również i takich, wzgardzonych przez współczesnych, które dopiero niejako za grobem odniosą zwycięstwo.

Mimo jednak te wszystkie, liczne i bardzo poważne trudności, musi istnieć jakieś najogólniejsze rozpoznawcze kryterjum, któreby pozwoliło dzieła sztuki współczesnej grupować wedle ich wartości. Za takie będą w pierwszym rzędzie uznane te prawidła, które dałyby się wyedukować ze wszystkich dotychczasowych stylów historycznych, a tem samem odnieść i do stylu współczesnego, jak również i jego ewentualnych następców. Z natury rzeczy będą to określenia jak najogólniejsze, pozwalające na obiektywne ujmowanie spostrzeżeń czysto osobistych i bardzo zazwyczaj uzależnionych od zmiennych i przemijających dyspozycyji lub nastrojów.

Taką najogólniejszą zasadą będzie, iż każdy styl stara się uorganizować szereg form w taki sposób, by one dały się zastosować do najrozmaitszych przedmiotów, małych i wielkich, dwuwymiarowych i przestrzennych. Stąd każdy styl wycisnie swoje charakterystyczne piętno, zarówno na linii, płaszczyźnie, bryle, jak i na barwie. Ta prawidłowość stylistyczna w ciągu wieków będzie rozmaita: raz będzie się opierała na idealnej równowadze i symetrii, innym razem naczelnym swoim wskazaniem uczyni rytm, a nie brak i takich epok, w których symetria i umiar spadną do roli podrzędnej. Raz będą się wybijały na plan pierwszy pierwiastki konstruktywne w sztuce,

innym razem znowu pierwiastki dekoracyjne i malarzkie (renesans, barok, rokoko).

Obecna sztuka weszła w znak surowego konstruktywizmu i celowości. W architekturze ujawnia się przewaga wielkich brył i płaszczyzn, gładkich, pozbawionych (może aż zanadto) elementu zdobniczego. Jest to naturalna reakcja przeciwko nadmiarowi pierwiastka dekoracyjnego i malarskiego, jaki oddziaływał i panował niepodzielnie w sztuce doby ubiegłej. W przeciwieństwie znów do harmonji artystycznej epok dawnych, powiedzmy klasycznych, coraz częściej sztuka dzisiejsza zaczyna się posługiwać dysharmonją, kontrastem i w tej mierze udaje się jej niejednokrotnie osiągnąć efekty prawdziwie artystyczne. Mamy zatem do czynienia z zespołem usystematyzowanych, na podstawie pewnej ogólnej zasady, usiłowań, przenikających wszelkie dziedziny sztuki współczesnej. Krystalizujące się w naszych oczach zasady twórcze możemy nazywać stylem.

Uczestniczymy zatem w narodzinach stylu.

Nie chcemy jednak jego wartości oceniać na podstawie dostępnych nam dzisiaj spostrzeżeń, a już absolutnie nie przykładamy do niego miary piękna i brzydoty. Piękno bowiem i brzydota — to pojęcia nieustannie zmienne, zależnie od tysiąca, nie dających się przewidzieć i zdefiniować, danych. To jedno jest pewne: wiele rzeczy, które uchodziły za bardzo piękne, uznano potem za klasyczne wprost okazy brzydoty. A zatem — miernik zawodny i nieprzydatny! Pozostaje więc, jako miara wartości omawianych zjawisk, istota konstrukcji, celowość w odniesieniu do materiałów i potrzeb współczesnych i ich klasyfikacja, wedle gatunków i rodzaju form zastosowanych. Zawodne i bardzo niebezpieczne wydaje mi się żądanie bezwzględnej oryginalności w sztuce, chociażby z tego względu, że dzisiaj wzajemne oddziaływanie kultur, najbardziej nawet od nas odległych, jest niezmiernie ułatwione i szybkie, a nadto system dzisiejszego wychowania i kształcenia sprawia, że każdy prawie człowiek wykształcony staje się poniewolnym dziedzicem wszystkich dotychczasowych kultur i epok. To ścieśnia granice tak zwanej oryginalności, o ile ich zupełnie nie przenosi w dziedzinę iluzji.

A zatem, niech nas to nie zraza, że nieraz spotkamy w sztuce współczesnej elementy pochodne, wprost lub pośrednio, od stylów epok innych. Tak być musi! Podobieństwa, zachodzące pomiędzy gotykiem, a sztuką buddyjską najrozmaitszych odcieni, lub między renesansem, a sztuką greków i rzymian, w niczem nie psują nam słusznego zachwyty i uznania dla wartości estetycznych, tkwiących w obydwu wymienionych stylach. Z tego, słusznego zresztą, założenia wychodząc, nie możemy stylowi współczesnemu czynić zarzutów, iż pod wieloma względami upodabnia się do stylu asyryjskiego, egipskiego lub mahometańskiego. Niech nam to wystarcza, że styl obecny usiłuje we wszystkich dziedzinach znaleźć formy, odpowiadające dzisiejszemu życiu, dzisiaj używanym materiałom i dzisiejszym możliwościom technicznym. Ten zespół wszelakich usiłowań tworzy właśnie swoistą kulturę estetyczną dzisiejszego pokolenia.

Jej cechy są bardzo znamienne i w niejednym bardzo zbliżone do założeń sztuki epok minionych. Przedewszystkiem, dzisiejsza kultura estetyczna wznosiła związek, tak lekkomyślnie przez pierwsze maszyny zerwany, pomiędzy artystą a rzemieślnikiem;



udostępniła poniekąd korzystanie ze sztuki, a tem samym przywróciła radość piękna najszerszym warstwom społecznym; wreszcie kult piękna rozszerzyła na wszystkie bezmała dziedziny życia. To są rzeczy poważniejsze, niżby na przelotny rzut oka здаwać się mogło.

Stąd naturalny i prosty wniosek: kultura estetyczna jednostki musi być identyczna ze zdobywaniem na każdym kroku form nowoczesnych, wolnych od elementów naśladowczych, ślepo powtarzanych z czasów dawnych — form dla swoich zapotrzebowań i upodobań. Człowiek winien otaczać się na każdym kroku rzeczami wybranymi i dobranymi, i ta troska nieustanna powinna być widoczna wszędzie. A już nadewszystko w jego otoczeniu codziennym, a więc w mieszkaniu. Stosunek do sztuki nie powinien być odświętny, dorywczy, ale codzien i na każdym kroku musi się przejawiać chęć obcowania ze sztuką. Dopiero taka atmosfera piękna jest istotą prawdziwej i głębokiej estetycznej kultury jednostki.

Nie należy zapominać o tem, że bardzo wiele jeszcze dziedzin współczesnego życia nie posiada tej scharakteryzowanej uprzednio atmosfery sztuki i piękna. Zwłaszcza u nas! Miasta zaniedbane, architektura i rozbudowa miast pozostawia tak wiele do życzenia; to samo dotyczy mieszkań, zwłaszcza stanu średniego. Wprost dziewiczy las, niedotknięty jeszcze oddziaływaniem sztuki. Wślad za tem idzie wytwórczość stolarska, nie mówiąc już o innych dziedzinach, zaspokajanych wyłącznie fabrykatami. Uświadomienie szerokich warstw równe prawie zeru! I, niestety, nie, albo prawie nie nie działa się w kierunku poprawy stosunków. Stworzenie tej codziennej kultury estetycznej, równoznacznej z pożądaniem piękna, dostosowanego do wszystkich potrzeb dnia codziennego, jest potrzebą niezmiernie doniosłą, związaną ze wszystkimi niemal dziedzinami życia społecznego, ekonomicznego, a nawet państwowego.

Walka w imię tego ideału powinna się toczyć na wszystkich polach, począwszy od szkolnej ławy. Tak czynią wszystkie cywilizowane narody europejskie, ponieważ stało się to dzisiaj już powszechną zdobyczą czasu, że niema kultury materialnej bez duchowej. A zagadnienie kultury estetycznej jest w pierwszym rzędzie zagadnieniem kultury duchowej. Człowiek musi mieć jakąś, choćby najskromniejszą, potrzebę ideału, krzepiącą go we wszystkich przeciwnościach i walkach dnia codziennego, bez niej bowiem nie zazna nigdy i nigdzie szczęścia, dla którego żyje i cierpi.

Ucieczka w krainę ideału od tego wszystkiego, co smuci — darzy człowieka, jeśli nie czem innym, to przynajmniej chwilą uludy, bez której nie było i niema prawdziwego życia.

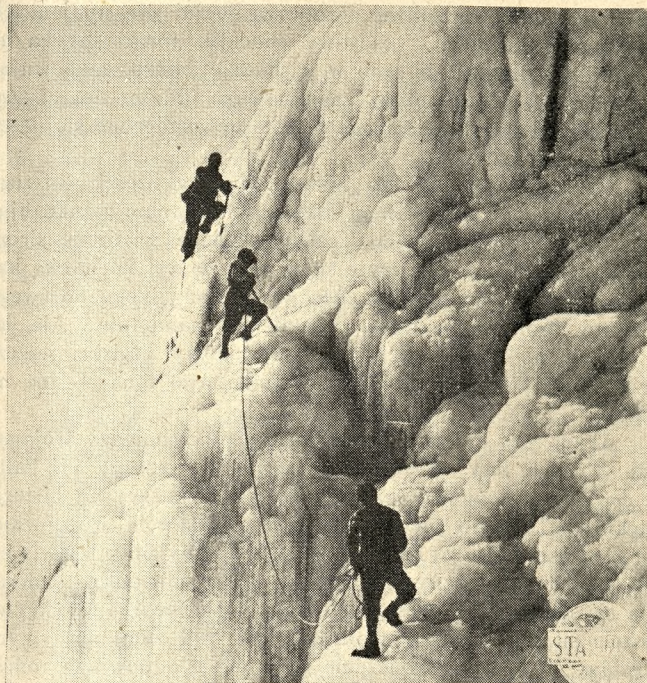
Stanisław Machniewicz.

## Z ŻYCIA EKRANU

(Ostatni mohikanin. — Poemat gór).

Kiedy zagranicznym gościom, bawiącym ostatnio w Polsce na międzynarodowym Kongresie Pen-Clubów, pokazywano Warszawę, stale wyrażali życzenie posługiwania się konnemi dorożkami, zamiast taksówek.

W rodzinnych miastach wielu z tych osób dorożka jest już tylko zabytkiem muzealnym, to też przejażdżka takim wężem miała dla nich specjalny urok — urok czegoś zanika-



Z filmu „Białe piekło“.

jącego, co za kilka lat może być już wogóle nieosiągalne, jak np. dziś nieosiągalne jest podróżowanie po środkowej Europie pocztowym dyliżansem.

Podobnego uczucia doznają obecnie miłośnicy kina, którym zdarzy się zobaczyć film niemy, film, w którym niema popisów śpiewaczych, kabaretów, rewij, djalogów, lecz jest tylko czarno-biała *wizja*, która zapomocą kontrastów statyki i dynamiki daje oku najwyższą rozkosz estetyczną, tak intensywną, że aż przenosi się ona na inne zmysły, pobudzając je do takiej reakcji, jakgdyby były bezpośrednio zaatakowane.

Wielokrotnie już w różnych filmach doznawaliśmy wrażenia, że słyszymy krzyk lub szloch, wydobywający się z „niemego ekranu — huk morza lub wycie wichru (np. w filmie Sjöstrema „Wicher“), lub też uderzała nas wiejąca stamtąd martwa cisza (np. w filmie dokumentalnym z wyprawy Scotta do bieguna południowego p. t. „Biała cisza“), pomimo to, że przecież film — jak każdy niemy — był ilustrowany muzyką.

To też, gdy zdarzy nam się zobaczyć jeszcze gdzieś taki film, — niemy, a tak wymowny — cenimy tem więcej jego czar, który zanika może już bezpowrotnie.

Jednym z takich ostatnich Mohikanów jest film reż. Pabsta p. t. „Białe piekło“, ilustrujący wycieczkę na alpejski szczyt Piz-Palü. Tak samo, jak zdarza się często, że malarz odkrywa przed oczami zwykłego śmiertelnika piękno, którego ten dotychczas nie dostrzegał, w czemś, z czem stykał się codziennie — tak samo kino wydobywa niejednokrotnie z przyrody coś, co dotychczas było widzialne tylko dla oczu wtajemniczonych.

Trzej szczerzy artyści (reżyser, scenarzysta i operator), złączeni nietylko znajomością swego fachu, lecz wspólnem umiłowaniem gór, odkrywają ich „tajemniczą duszę“ przed oczami zdumionego „cepra“, dla którego dotychczas góry, nawet w swej krasie, były martwe i monotonne. Ci trzej ludzie pokazali nam, że te wyniosłe, dalekie szczyty, które pozornie nie biorą żadnego udziału w losach człowieka, posiadają swoje utajone życie. Kochają śmiałków, których kuszą — jak syreny — obiecując nieznanne rozkosze. Lecz kto raz wszedł w ten zaczarowany świat, prędzej czy później staje się jego ofiarą.

Widzimy więc góry w słońcu, wabiące łagodnemi stokami, uśmiechnięte bielą śniegu do bezhmurnego, błękitnego nieba. Szczyty przybierają najfantastyczniejsze kształty, lodowe pałace grają tęczą barw... Ale nie wierzcie im — to podstęp! Kie-



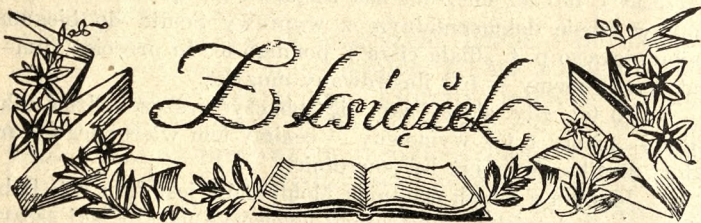
dy już zaczynacie się zbliżać do ołtarza bogini gór, upojeni ich ekstazy pięknem — złośliwy chochlik górski spycha na was lawinę i znajdujecie grób w kaskadzie śniegu, zachowując w zdumionych oczach obraz zagadkowego oblicza bogini. Zabawiła się waszym kosztem, nie przestając uśmiechać się dalej, do słońca, nieba i ziemi.

Ale czasem bogini gór mięwa odruchy litości: ostrzega śmiałków. Straszy ich zwałami kłębiących się chmur, ukazując im okropne, zielone, lodowe szczeliny, smaga wichrem, siecze deszczem i śniegiem. Nie kryje się z tem, że jest kochanką kapryśną, złą i podstępą. Nie chce wpuszczać nikogo do swego królestwa. Broni się zaciekłe, zapamiętałe, namiętne... Ale, jeżeli się nie ulękniecie, zacieśnia swój lodowy uścisk... jeszcze chwila, a przytuli was do swego kamiennego łona — już na wieki.

Akcja tego dramatu, rozgrywającego się między trojgiem ludzi, których losy związał ten tajemniczy szczyt Piz-Palü, jest bardziej emocjonująca, niż najwięcej sensacyjne historie „detektywne”. Po raz pierwszy widzimy, jaką rolę w ratownictwie górskim odgrywa samolot: niby cudowny ptak, zjawia się nagle wśród niebotycznych szczytów, krąży nad doliną śmierci, objaja się nieledwie o prostopadłe ściany skalne i — wykrywa wreszcie miejsce, w którym okrutna Piz-Palü zamknęła swych więźniów. A chociaż zakończenie niezupełnie odpowiada rodzajowi amerykańskiego „happy end’u”, napawa nas jednak dumą: w ciężkiej walce z nieustraszoną, podstępą przyrodą genjusz ludzki coraz bliższy jest zwycięstwa.

Film „Białe piekło” jest dokumentem tego zwycięstwa, opłaconego niesłychaną odwagą jego twórców. Wierzyć się wprost nie chce, że operator filmowy mógł dotrzeć do miejsc, po których dotychczas stapały chyba tylko kozy górskie, ażeby argusowem okiem aparatu spojrzeć na świat górski pod takim kątem, pod jakim oglądać go mogą jedynie orły. Artyzm, z jakim obrazy te zostały zmontowane, uwydatniając w sugestywny sposób nieodgadnioną siłę, która pcha człowieka ku szczytom — czyni film ten jednym z najpiękniejszych dzieł sztuki kinowej. Kto wie, czy nie jest to łabędzi śpiew Wielkiego Niemowy!

Stef. H.



Eugenia Kobylińska: „Druskieniki”. Z ilustracjami J. Bulhaka. Warszawa, 1930. — F. Hoesick.

Bezpretensjonalny zbiorek wierszy, pisanych na wakacjach w Druskienikach, ilustrowany prześlicznymi krajobrazami zdjęciami Bulhaka. „Nie karz zbyt srogo mię, Boże, za słodycz bez troski i lata!”...

Główną zaletą zbioru jest świeżość i pewna rozbijająca naiwność w notowaniu wrażeń i przeżyć w tym wierszowanym pamiętniczku. Nie wszystkie te notatki dociągnięte są do właściwego poziomu artystycznego, nie wszystkie są dostatecznie przepracowane wewnętrznie. Mają one jednak swoje własne oblicze, a niektóre — jak np. „Park w nocy”, „Uśmiech” — sporo melancholijnej i subtelnej zadumy.

Pomysł uwiecznienia na zdjęciach krajobrazowych postaci autorki nie należy do najszcześniejszych. Książeczka może stanowić miłą pamiątkę dla miłośników Druskienik, znacznie miłszą od banalnych pocztówek i albumików.

S. P. O.

Józef Marja Wiktor: „Na ziemi pokój” — romans umarłych. Instytut Wydawniczy „Renaissance”..

Nie ulega kwestji, że kilka dość ciekawych scen z życia proletariatu, zawartych w tej książce, można było wydrukować, jako tomik opowiadań. Niestety, autor, zmierzyszy widocznie siły na zamiary, napisał powieść. Mam wrażenie, że zabrał się do tego tak, jak dwaj autorzy w komedji Hemara. Siadł, umoczył pióro, zastanowił się przez chwilę i napisał tytuł: „Na ziemi pokój”. Podkreślił, zastanowił się jeszcze raz, poczem wykaligrafował poniżej: „romans umarłych”. Uskuteczniwszy to, nie zastanawiał się już więcej, a tylko pisał i pisał.

Kiedy książka, wedle rozmiaru rękopisu, dobiegała do końca, a bohater — bandyta, trafiony kilku kulami, zakończył żywot swój, zewszechmiar godny pożałowania — zadowolony autor odetchnął i spojrzął na tytuł. Tytuł był dobry, ale pod tytuł? W tem miejscu autor się zasepił. Na krótko jednak. Znalazł radę. Od czego się jest autorem? Wyciągnął swego nieszczonego bohatera ostrożnie z trumny, kazał z jego szkieletu zrobić marjonetkę na sprężynach i, wsadziwszy go do wędrownego panoptikum wraz z młodą i zakochaną (w kościotrupie) dziewczyną, wysłał ich w podróż dla przyjemności, po większych miastach Europy.

Tak powstał „romans umarłych”, za który niewątpliwie umarli porachują się kiedyś z autorem, co nas, oczywiście, mniej obchodzi. Godny natomiast potępienia już przez żywych jest fakt, że autor wybrał sobie za pseudonim nazwisko znanego pisarza Wiktora, umieszczając przed nim imiona Józef Marja.

Styl i język tej powieści nie pozostawiają nic do życzenia, wiele natomiast do wytknięcia.

Uważam, że nazwanie pana Józefa Marję Wiktora polskim Remarque’em na opasce tej książki, nie zaszkodzi Remarque’owi, ale kompromituje Józefa Marję Wiktora.

l-n.

Bohdan Pawłowicz: „Pionierzy” — powieść. Wydawn. „Pionier”.

Sprawa kolonij polskich w Ameryce, tak obecnie żywa i aktualna, niejednokrotnie już znajdowała swój oddźwięk w literaturze. Od czasów nieśmiertelnego „Pana Balcera” pisało się o tem dużo i wielostronnie, a oto znów mamy książkę młodego autora, który rzuca nam przed oczy szmat życia polskiego z za Oceanu.

Książka przykuwa swą bezpośredniością w podejściu do tematu i wartkim potokiem naracji.

Bohaterami nie są jednostki, lecz zwarty tłum chłopów, zebranych z różnych stron Polski, mówiących różnym dialektem, a zjednoczonych jednym celem, którym jest praca na roli. Nie jest to jednak „chłopska epopea”, gdyż wieśniacy stanowią jedynie tło, na którym wyraźniej wypuklają się, nieliczne zresztą, typy inteligencji, potraktowane już, jako jednostki, stojące w wyraźnym kontraście z szarą, chłopską masą.

I w tem leży sprzeczność wewnętrzna z intencją autora, którego założeniem było właśnie bohaterstwo tłumy chłopów. Inteligencja, jako bliższa autorowi, a więc lepiej odtworzona, wysunęła się na czoło utworu, chłopci natomiast — element twórczy i najciekawszy — wyszli blade i konwencjonalnie, co się bardzo źle odbiło na całości utworu, przez wypaczenie jego intencji.

Pomimo tych usterek książkę czyta się z zaciekawieniem, a stosunki i warunki pracy wychodźców polskich w Ameryce przedstawił autor barwnie i z dużą znajomością rzeczy.

## ODPOWIEDZI OD REDAKCJI

K. L. — *Lwów*. Z nadesłanego wiersza nie skorzystamy.



## KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

### POLAK DOKTOREM HONOROWYM SORBONY.

Znakomity uczony, prof. Tadeusz Zieliński, którego jubileusz obchodził niedawno cały świat naukowy, został mianowany doktorem honoris causa Uniwersytetu paryskiego. „Bluszcz” w swoim czasie drukował również prace znakomitego jubilata.

### MÓWCZYNIĘ NA KONGRESIE EUCHARYSTYCZNYM.

Podczas ostatniego Kongresu Eucharystycznego w Poznaniu kobiety wygłosiły następujące referaty: „Eucharystja uzdrowieniem obecnego kryzysu duszy kobiecej” — p. Puzynianka; „Komunja Św. a dom rodzinny” — p. T. Potworowska; „Odpowiedzialność kobiety odnośnie do powołań kapłańskich i zakonnych” — p. Wład. Zamoyska; „Eucharystja źródłem mocy w życiu zawodowym kobiety” — p. Zofja Rzepecka.

### AWJONETKI LECAJĄ DOKOŁA EUROPY.

Cała Europa śledzi z zacięciem międzynarodowy raid awjonetek, do którego na lotnisku Tempelhof w Berlinie stanęło do startu 60 maszyn z różnych krajów. Z Polski wzięła udział ekipa „asów” lotnictwa sportowego i komunikacyjnego: kapitan Orliński, por. Żwirko, kap. Babiński, znany konstruktor Działowski, znakomity pilot komunikacyjny Karpiński i inni. Zawodowcy polscy odznaczyli się wyjątkową punktualnością. Gdy z innych krajów zgłoszono początkowo do raidu znacznie większą liczbę awjonetek, z których później przyby-



Lady Bailey bierze udział w raidzie awjonetek.

wała do startu mniejsza ilość, z Polski przybyły prawie wszystkie.

Smutne tylko, że zaraz na początku lotu zdarzyły się dwa poważne wypadki: uległ katastrofie, jeszcze na terenie Polski, konstruktor Działowski i zachorował poważnie w Calais pilot Karpiński. Drugą feralnością jest zupełny brak polek w zawodach, podczas gdy z innych krajów lotniczki biorą w nich udział. Angielka, Miss Spooner, leci dotychczas stale na czwartym miejscu; prócz niej pilotuje swego sławnego już z lotu do Afryki Havalanda, lady Bailey. Przed zakończeniem raidu wszystkie awjonetki przylecą do Warszawy, będącej jednym z etapów podróży.

### NOWY SZPITAL CURIE-SKŁODOWSKIEJ.

Już od kilku miesięcy czynny jest w Londynie szpital dla kobiet, imienia Marji Curie-Skłodowskiej. Obecnie odbyło się jego uroczyste otwarcie. W pierwszych latach po wojnie odczuwano w Anglii wielki niedostatek radu, którego minimalne ilości rozrzucone były po różnych szpitalach. Ponieważ strasznej chorobie raka podlega wiele kobiet, lekarki londyńskie postanowiły rozpocząć własnymi siłami akcję wybudowania szpitala kobiecego. Sekcja badań nad rakiem londyńskiego oddziału międzynarodowej federacji lekarek dokonała tego dzieła.

Na przedmieściu Hampstead, jak zwykle w Anglii, w starym, lecz wspaniale odrestaurowanym gmachu, zaopatrzonym we wszelkie nowoczesne urządzenia, otoczonym wspaniałym ogrodem, otwarto szpital na 50 łóżek. Wszystkie miejsca zostały odrazu zajęte i długa jeszcze lista pacjentek oczekuje kolei; to też prowadzi się energiczna agitacja za powiększeniem lecznicy. Wartość radu, będącego do dyspozycji szpitala, wynosi 12 tysięcy funtów szterl. (przeszło pół milj. złotych).

Na otwarciu, dokonanem przez Baldwina, obecni byli ambasadorowie Francji i Polski, którzy w mowach swych podkreślali olbrzymie zasługi Marji Curie-Skłodowskiej. P. Baldwin podniósł w swem przemówieniu rolę kobiet, które przez cały ciąg dziejów świata, mocą najwyższego poświęcenia osobistego, łagodziły ból i naprawiały zło, którego przyczyną tylokrotnie stawali się mężczyźni! Na zakończenie odczytano serdeczną depeszę od Curie-Skłodowskiej.

### WSZYSTKO POTRAFIMY.

Na wystawie turystyczno-komunikacyjnej w Poznaniu zwraca uwagę dział kolejowy rumuński. Doskonale wykresy, mapy i modele dają dokładny obraz stanu kolejnictwa rumuńskiego, które, zniszczone w czasie wojny, zdołało w krótkim stosunkowo czasie bardzo się rozwinąć. Prócz tego dział ten i pod względem estetycznym przedstawia się pierwszorzędnie, górując nad innymi ekspozycjami rumuńskimi. Piękną tę wystawę urządziła kobieta, architektka rumuńska, wiceprezesa ostatniego europejskiego kongresu architektów, p. Marja Irincu. P. Irincu bawi obecnie w Poznaniu, jako przedstawicielka dyrekcji kolei rumuńskich. W dodatku p. Irincu zdołała zorganizować swój dział w rekordowo krótkim czasie, gdyż dyrekcja bardzo późno zdecydowała się na udział w wystawie.

### ZA PRACĘ — NAGRODA.

Pani Józefa Jędrychowska, dyrektorka gimnazjum państwowego im. Królowej Jadwigi w Pabjanicach, została odznaczona złotym krzyżem zasługi za pracę pedagogiczną i społeczną. Staraniom p. Jędrychowskiej zawdzięcza gimnazjum wzniesienie nowego i wspaniałego gmachu szkolnego. Dzięki energii dyrektorki, która umiała zachęcić rodziców i społeczeństwo do pomocy, oraz rozwinąć niezmiernie starania u władz, szkoła mieści się dziś we wzorowym budynku, który jest chlubą miasta. Pomimo wyczerpującej pracy pedagogicznej i kierowniczej, p. Jędrychowska jest jeszcze jedną z najruchliwszych działaczek społecznych na terenie Pabjanic.





Najnowsza moda.

### TAK JEDZIEMY NA WYCIECZKĘ.

Podczas panujących obecnie w Ameryce upałów, amatorzy sportu przyjęły nową modę spacerową i turystyczną: zamiast dotychczasowej spódniczki, noszą do bluzek szerokie, białe spodenki, no i naturalnie, skarpetki.

### KTO SAM PILNUJE SWYCH INTERESÓW...

Statystyka parlamentarna angielska wykazała, że od początku XX wieku, do 1918 r., w którym angielski otrzymała pierwsze prawo wyborcze, przeszły przez Izbę cztery projekty, dotyczące praw i ochrony kobiet. Od 1918 zaś do 1930 r., parlament uchwalił trzydzieści cztery ustawy tego rodzaju!

### OSTATNIE SUKCESY.

Coś, coś zaczyna się powodzić nam w ostatnich czasach. Niezdobyta dla kobiet twierdza dyplomacji francuskiej uchyliła jedną z bram, przez którą do ministerstwa spraw zagranicznych weszła młodziutka licencjatka filozofji, p. Zuzanna Borel. Nie otrzymała jeszcze wprawdzie p. Borel placówki ambasadora, ani nawet sekretarza ambasady, ale, bądź co bądź, została zaliczona do personelu dyplomatycznego drogą konkursu, a więc wyboru między licznymi kandydatami.

Pozatem świat muzyczny zelektryzowany został wiadomością o objęciu przez znakomitą skrzypaczkę włoską, Anitę Colombo, stanowiska dyrektora opery La Scala w Medjolanie. Teatr La Scala, dyktator operowy we Włoszech, a właściwie w całym świecie... pod dyktando kobiety! Tego też jeszcze nie było.

Wreszcie, ale to już było i nawet w Anglii jest: panna K. Hesselgren została w Szwecji ministrem oświaty.

### Z UBIEGŁEGO TYGODNIA.

Coraz częściej słyszymy w ostatnich czasach zdania o kryzysie parlamentarnym.

Co to takiego?

Zjawisko to jest zupełnie prostym skutkiem pewnego spłotu przyczyn, które w ogólnych zarysach powtarzają się wszędzie i byłoby bardzo łatwo na „kryzys” ten poradzić, gdyby... gdybyśmy znali lekarstwo na owe przyczyny.

W początkach epoki nowoczesnego parlamentaryzmu życie polityczne było w masach społecznych słabo rozwinięte, skutek tego był taki, że t. zw. stronnictw politycznych istniała znikoma ilość. W każdym kraju były najwyżej dwa odłamy: konserwatywny i postępowy. Same wybory do parlamentów oparte były na zasadzie absolutnej większości. Jeżeli większość okazała się konserwatywna, konserwatywny był parlament, i naodwrot. Każde stronnictwo przeważające miało w parlamencie pewną i absolutną większość, której mniejszość musiała się podporządkować.

Ludzkość jednak nie stoi w miejscu i z rozwojem praktyki życia politycznego zaczęły powstawać coraz nowe odłamy opinii, nowe stronnictwa. Zróżniczkowanie to stało się tak wielkie, że musiano zmienić system wyborczy i dziś wybory zorganizowane są tak, że każde stronnictwo, posiadające poważniejszą ilość członków ma w parlamencie swoich przedstawicieli. Dlatego właśnie jest w każdym parlamencie tych stronnictw tak dużo, że żadne z nich nie może liczyć na ilość posłów, zapewniającą absolutną większość podczas głosowania.

Cóż więc się dzieje? Stronnictwa łączą się między sobą. Czasem robi się to jako-tako logicznie, na zasadzie pewnych wspólności przekonań i celów; częściej jednak wyrastają dziwolągi takie, jak wspólne głosowanie prawicy z komunistami (jak to ostatnio miało miejsce w Berlinie). Rezultatem tego jest, że niezadowolone z istniejącego porządku rzeczy stronnictwa mogą wprawdzie niemiły sobie rząd obalić, ale stworzyć na jego miejsce nowego systemu nie są w stanie. To jest właśnie *choroba parlamentarna*. Z wyjątkiem jednej Anglii, gdzie dotychczas opinia dzieli się stale na dwa, najwyżej trzy odłamy: konserwatystów, liberałów i partję pracy, we wszystkich prawie parlamentach istnieje po kilkanaście stronnictw, z których żadne nie ma tylu głosów, aby zdobyć mogło większość i rządzić samo. Połączenia ich zaś, nie zawadzające przy obalaniu rządów, zawodzą zawsze przy ich tworzeniu.

Tematem niezgody bywa raz polityka wewnętrzna, raz zagraniczna, niekiedy obydwie i to ostatnie jest specjalnie ważne. Taki przykład mamy właśnie w Niemczech.

Z polityki zagranicznej Niemiec niezadowoleni są nacjonalisci-prawicowcy, marzący o odwecie, odzyskaniu straconych prowincji i unicestwieniu traktatów pokojowych; z wewnętrznej socjal-demokracji i komuniści, protestujący przeciw nowym podatkom. Rząd Rzeszy wydał obecnie nowy dekret podatkowy, nakładający na obywateli dość znaczne ciężary, z których część iść miała na pokrycie niemieckiego długu wojennego, znaczne zaś sumy miały być użyte na „parcie na wschód”, poprostu na organizowanie niemieczyzny na kresach pogranicznych Polski i w Prusach Wschodnich.

No i wybuchnęła burza. Parlament obalił dekret podatkowy, połączonymi głosami prawicowych nacjonalistów, hitlerowców z jednej, a lewicowych socjalistów i komunistów z drugiej strony. Nie obalono wprawdzie rządu, gdyż prezydent, korzystając z przysługującego mu prawa, rozwiązał parlament, jest to jednak lekarstwo chwilowe.

Nowe wybory odbędą się we wrześniu. Nacjonalisci zapowiadają, że odbędą się one pod hasłem walki z planem Younga, t. zn. pod hasłem rewizji traktatów i granic z Polską. Tymczasem, rozwiązany parlament nie może naturalnie ratyfikować traktatu handlowego z Polską, co też nacjonalistom jest bardzo na rękę.





Wycieczka prasowa na terenie Ogródków Rodzinnych.

## WARSZAWA A ROZWÓJ IDEI OGRÓDKÓW DZIAŁKOWYCH

Zbawienna w skutkach idea ogródków działkowych w stolicy naszej nie osiągnęła dotąd pożądanego rozwoju.

Mamy wprawdzie zastęp ludzi dobrej woli, którzy, stojąc na czele Towarzystwa Ogródków Rodzinnych, robią, co mogą, dla dobra sprawy, a nawet, jeżeli wejrzymy w rezultaty ich pracy, musimy przyznać, że robią nieomal więcej, niż są w stanie.

Jeżeli położymy na szali z jednej strony „rzeczy dokonane“, z drugiej — minjaturowy zakres uprawnień i opieki, na jakie liczyć może Towarzystwo zarówno od miasta, jak i sfer rządowych — nie pozostaje nam nic innego, jak schylić głowę przed ofiarnością i silną wolą wytrwania na raz obranym szlaku.

O Ogródkach Działkowych, z punktu widzenia ich znaczenia moralnego i fizycznego, powinno się mówić i pisać przy każdej nadarzającej się okazji. Praca na świeżym powietrzu, zapewniająca mieszkańcom miasta wogóle, a pracownikom umysłowym w pierwszym rzędzie, bezcenny dla zdrowia wysiłek fizyczny, ukojenie nerwów, jakie chodzi w parze z tego rodzaju pracą, wreszcie zadowolenie moralne i dorobek materialny — oto czynniki, wystarczające chyba, aby wzbudzić zainteresowanie ideą Ogródków wśród najszerszego ogółu i pozyskać opiekę władz rządowych i samorządowych.

Tymczasem na terenach Warszawy Ogródki Działkowe są zaledwie w zaczątku. Czemu przypisać opieszałość, z jaką rozwój postępuje? W żadnym razie — obojętności mieszkańców; przeczy jej zapotrzebowanie na działki, któremi jedyne dotąd sprawnie działające Stowarzyszenie nie jest w stanie obdzielić swoich członków.

Dorocznym zwyczajem, w dniu 29 czerwca roku bieżącego, na terenie Ogródków Rodzinnych zebrali się przedstawiciele prasy i zaproszeni goście. Kilka godzin, poświęconych wejrzeniu w sprawy Towarzystwa i ocenie dorobku pracy działkowców, rzuca wystarczające światło na „łzy i uśmiechy“, jakimi los obdziela Zarząd i członków.

Pod rubryką uśmiechów zapisać należy w pier-

wszym rzędzie zapał i wytrwanie, z jakim pracują działkowcy. Są one najlepszą miarą skali przywiązania do tego maleńkiego skrawka ziemi, który pracą własnych rąk zmienili z zachwaszczonego ugoru w kwietną grzędę, obrzeżającą wzorowo prowadzone warzywniki. Uśmiechem jest im każdy pąk, strzelający z kwietnej łodygi; każdy owoc, dojrzewający pod osłoną ich pieściwego starania; każdy pęczek wiosennej rzodkiewki, główka sałaty, lub kapusty, czerwień pomidorów; prozaiczna, a jakież ogrom poezji zamykająca w sobie, marchew; pietruszka, burak ćwikłowy, groszek i fasolka, które po znojných godzinach pracy niosą do domu, niczem skarby najcenniejsze.

Bogatą litanję uśmiechów wzbogaca jeszcze idealne współzycie działkowców, którzy tworzą zgodną rodzinę, wspierając się wzajemnie nie tylko radą, pomocą, ale i nasionami, flancami i odkładami; współżyją przytem w zgodzie i harmonji, które tak bardzo podnoszą urok ich wspólnego bytowania. Uśmiechem jest też dla skromnie uposażonej rodziny dorobek materialny, jaki przynosi działka. Racjonalnie zagospodarowana i umiejętnie kultywowana, może dać warzyw, owoców i nowalij za łączną sumę zł. 300, nie licząc kwiatów, które w życiu przeciętnie uposażonej jednostki są nie tylko rzadkim skarbem, ale wyrazem niedoścignionego dobrobytu.

A teraz kolej na różaniec łez. Wszystkie bolączki Towarzystwa są niczem, wobec wiszącej nad terenem ogródków grozy egzystencji bez jutra. Teren, którym Zarząd obdzielił swych członków, wydzierżawiono od miasta na polach Rakowieckich. Termin dzierżawny dobiega kresu, a pertraktacje prowadzone o przedłużenie terminu, nie rokują nic dobrego.

I tak na każdym kroku dobra wola i wysiłek prywatny rozbijają się o brak zainteresowania, poparcia i opieki ze strony sfer, które powinny nie tylko ochronić te cenne poczynania, ale stworzyć na swoją rękę szereg kolonij ogródków działkowych, zużytkowując olbrzymie, odłogi leżące przestrzenie, okalające miasto. Kolonja rakowiecka — to perła na pustyni. Broni się, jak może, wszelkim przeciwnościom; walczy





Ziarna wyhodowanego własnoręcznie, słonecznika, przewyższają smakiem południowe migdały.

ze złą wolą gawiedzi, która niejednokrotnie niszczy jej pracę, nie tracąc nadziei, że doczeka się chwili, kiedy prawodawstwo polskie ogłosi paragrafy, otaczające należytą opieką ich działki, karząc rękę, która sięga po cudze dobro i niszczy owoce szlachetnego wysiłku.

Nie trzeba szukać daleko, nie trzeba wzorować się na obcych państwach: wystarczy zwiedzić ogródki działkowe Wielkopolski i wejrzeć w ogrom dobrej woli, z jaką władze samorządowe wychodzą naprzeciw organizacji, obdzielając ją terenami, zagwarantowanymi kontraktem dzierżawnym o możliwie najdłuższych terminach, kredytami inwestycyjnymi i opieką doraźną, która wyklucza bezmyślne i okrutne szkody, wynikające ze swawoli i kradzieży.

Członkowie Zarządu Towarzystwa Ogródków Rodziny w osobach panów: Dr. Rajmunda Buławskiego i Zbigniewa Jarochońskiego, w przemówieniach swych, skierowanych do przedstawicieli prasy, zaproszonych na święto Ogródków Rodziny, zobrazowali w prostych, a do serc trafiających słowach trudne położenie Towarzystwa, które kołacze daremnie do zamkniętych drzwi, a pomimo to ma wiarę i silną wolę wytrwania. Jeżeli miasta polskie wydzielały tereny, dopomogą do racjonalnego ich zagospodarowania, a sfery rządowe zagwarantują spokój i bezpieczeństwo działkowców — sprawa Ogródków Działkowych pójdzie po linii najszybszego rozwoju.

Na zakończenie dodać należy, że Organizacja Ogródków Rodziny jest postawiona wzorowo. Każdy mieszkaniec miasta Warszawy, niezależnie od stanowiska społecznego i wyznania, ma prawo ubiegać się o działkę; Komisja Pomocy Ogrodniczej działa sprawnie i nie tylko dostarcza nawozów sztucznych, nasion, drzewek i krzewów ozdobnych i owocowych, flanc warzywnych i kwiatowych, po cenach możliwie najniższych, ale zapewnia działkowcom korzystanie z fachowych rad Instruktorce, pani Kunińskiej, która

dyżuruje na terenie w środy i soboty od godziny 17 — 19 i udziela wszelkich porad i wskazówek bezinteresownie. Ponadto Zarząd organizuje odczyty i pogadanki z dziedziny ogrodniczej i podejmuje się wszelkich inwestycji, związanych z wymaganiami terenu, nie obciążając nimi członków.

Dzierżawa działki o powierzchni 300 m<sup>2</sup> wynosi rocznie zł. 58,20. Suma ta, rozbita na poszczególne pozycje, przedstawia się w sposób następujący:

Składka członkowska zł. 12 (rocznie), czynsz dzierżawny zł. 15 (rocznie), opłata stróżów zł. 31,20 (rocznie), czyli 2,60 miesięcznie.

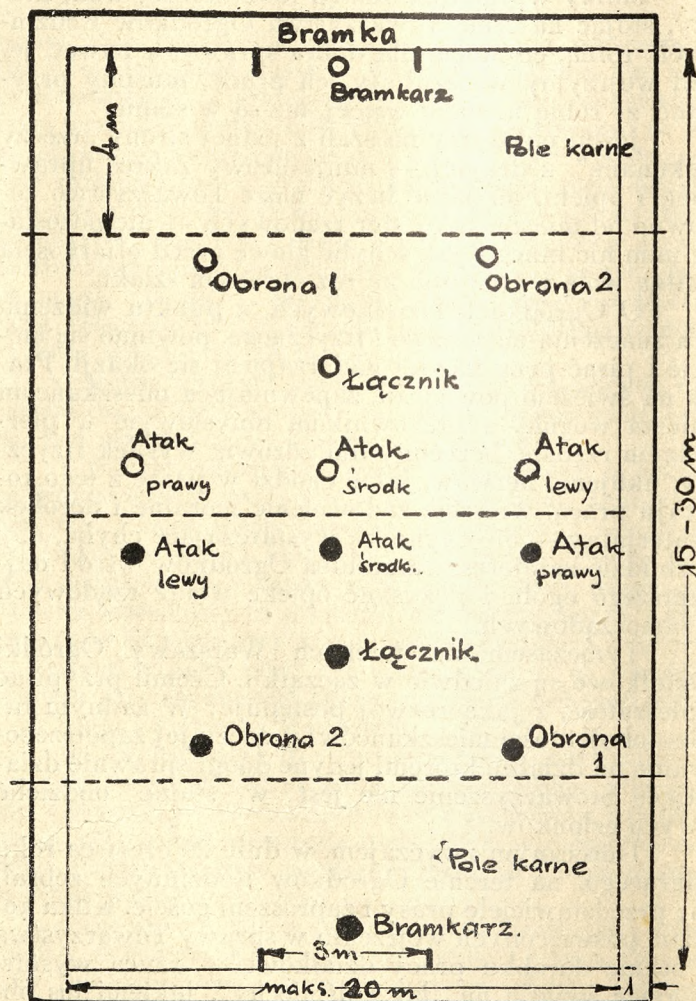
Wszyscy członkowie Zarządu pracują bezinteresownie, oddając czas swój i siły dla dobra umiłowanej sprawy. Siedziba Towarzystwa znajduje się przy ulicy Nowowiejskiej 45 (I piętro — tel. 121-58). Dyżury w sekretarjacie w poniedziałki i czwartki, od godz. 18 do 19 i pół.

Wanda Dobrzańska.

## PIŁKA WODNA

Jednym z najprzyjemniejszych sportów, jakimi można nie tylko urozmaicić sobie czas, ale i zdobyć zapas sił do pracy na całą zimę, jest sport wodny.

Sport wodny, niestety, u nas w Polsce nie znajduje zbyt wielu zwolenników i jest bardzo mało stosowany; przyczyną tego jest nie tyle brak propagandy, ile pewna obawa przed wodą, jaka cechuje spe-



Plan gry w piłkę wodną.



ejalnie ludzi, nie umiejących pływać, a takich u nas jest większość.

Z pomiędzy sportów wodnych najbardziej rozpowszechnionym stosunkowo jest jeszcze sama kąpiel i pływanie; mniej rozpowszechnione jest wioślarstwo; najmniej znana jest piłka wodna.

Piłka wodna, jako sport, posiada bardzo wiele zalet. Prócz konieczności przebywania na słońcu i powietrzu wymaga jeszcze ruchu, który wywołuje dobrą przemianę materji, a co za tem idzie, wzmocnienie organizmu. Dzięki możliwości przeprowadzenia rozgrywek, wywołuje pewną emocję i urozmaicenie.

Za boisko przy piłce wodnej służy basen do pływania, który posiada długość (odległość od bramek) 15—30 m.; szerokość natomiast nie powinna być większa od 20 m. Głębokość tego basenu nie jest jednokowa: wynosi ona w środku 1 m., a przy bramkach, położonych po przeciwnych stronach, dochodzi do półtora metra. Bramki posiadają szerokość 3 m.

Drużyna przy piłce wodnej składa się z 7-miu graczy: trzech w ataku, 1 łącznik, 2 jako obrona i 1 bramkarz. Rozstawienie drużyny przy rozpoczęciu gry jest uwidocznione na rysunku, na którym także oznaczone są inne linje, potrzebne przy grze.

Rzecz prosta, że prócz bramek, które wystają z wody, nie można na wodzie robić innych znaków; umieszcza się je dla wytyczenia boiska na brzegu, by ułatwić orientację i pracę sędziego.

Zasady gry są bardzo proste. Strona zaczynająca, to jest atak środkowy, podaje piłkę drugiemu graczowi ze swojej drużyny; podczas tego inni posuwają się do bramki przeciwnika (płyną), by podaną im piłkę natychmiast podać dalej, lub też „wsadzić“ ją w bramkę drużyny przeciwnej. Przytem nie wolno podawać piłki oburącz i nie wolno jej przetrzymywać. Jedynie tylko bramkarz może chwycić piłkę i rzucać ją obydwiema rękami.

Przeciwnicy starają się piłkę pochwytać i podać graczowi swojej drużyny. Gra naogół oparta na zasadach piłki nożnej, posiada także i swoje punkty karne, które liczy się za przetrzymywanie piłki, za rzucanie oburącz, przez co piłka przechodzi w ręce przeciwnika.

Gracz wprawny może także „prowadzić“ piłkę, musi jednak zawsze umieć w porę oddać ją swojemu współgrającemu i nie dopuścić do tego, by została mu odbita.

Rozgrywki w piłkę wodną prowadzi się na czas (jak przy piłce nożnej), przyczem czas ten wynosi 2 razy po 7 minut. Gra sama jest prowadzona szybko i przybiera tempo żywe, w zależności naturalnie od zwinności i wyrobienia całej drużyny.

To ostatnie specjalnie odgrywa tu wielką rolę, gdyż woda, w której przez cały czas gracze się znajdują, stanowi pewien opór, należy zatem jaknajczęściej i umiejętnie podawać piłkę od jednego gracza do drugiego, przeprowadzając te kombinacje szybko i zwinnie, co wymaga długiego treningu i zgrania całej osady.

Dla uzupełnienia dodam, że piłka jest gumowa, obszyta skórą, powinna posiadać średnicę 21 do 24 cm. Graczy rozpoznaje się po czapkach, które mają na głowach podczas całej gry.

Bramkę liczy się, jeżeli piłka wpadnie do bramki przeciwnika, z tem jednak, że uprzednio została dotknięta najmniej przez dwóch graczy. Ważny jest rzut w bramkę ręką, nogą lub głową. Jak przy wszystkich przepisach, regulujących rzuty karne i grę, wyliczenie tego jednak prowadziłoby do bardzo długich wywodów.

Wspomnę jednak, że bardzo ważną rzeczą jest trening, który polega nietylko na rzucaniu i chwytaniu piłki z odpowiednią szybkością, ale i na swobodnym i zwinnym poruszaniu się w wodzie.

Prócz bardzo wielu zalet, jakie posiada piłka wodna, należy wymienić i podkreślić wyrabianie zwinności, szybkiej orientacji oraz pewności rzutów i ruchów, przy równoczesnym ćwiczeniu wszystkich mięśni przez pływanie. Bardzo dodatnim czynnikiem, specjalnie dla osób pracujących, jest połączona z tem kąpiel przymusowa; nikomu nie trzeba chyba przypominać, jakie szalone korzyści daje nam zimna kąpiel, połączona z ruchem na świeżem powietrzu, kąpielą powietrzną i słoneczną, które w tych wypadkach są nieodłącznymi czynnikami.



Piłka wodna — radość dorosłych, uciecha dzieci.



Żałować natomiast należy, że kąpiele wogóle są u nas tak bardzo mało rozpowszechnione, i że nie jesteśmy jeszcze w tak szczęśliwym położeniu, jak zagranica, gdzie każde prawie małe miasto urządza dla swych mieszkańców plaże, względnie otwarte baseny pływackie, uznając ich pierwszorzędne znaczenie i potrzebę.

Zaznaczę jednak, że skoro chodzi w pierwszym rzędzie o zdrowie, a później o trening, nie potrzebne są do tego specjalne baseny. Każda rzeczka, na której można znaleźć zawsze jakieś obszerniejsze miejsce, może służyć do tego celu, byleby nie była bardzo rwąca, gdyż w tym wypadku piłka będzie unoszona przez prąd wody.

Wogóle wszystkie sporty mają to do siebie, że jeżeli się ich raz popróbuje i przejdzie pierwsze przykre wrażenie zmęczenia, jakie występuje u osób, nieuprawiających przez dłuższy czas ćwiczeń fizycznych, to wtedy już nigdy nie można się rozstać z treningiem wodnym, który w upalne dni daje ochłodę, samopoczucie tężyzny, świeżości i lekkości, nie mówiąc już o niezaprzeczalnych korzyściach dla zdrowia.

Emka.

## Z UPALNYCH DNI

Rzucając okiem wstecz na przebyty okres letnich tygodni, musimy stwierdzić, że przyroda zgotowała nam niespodziankę, gdyż naprzekór odwiecznym podziałkom kalendarzowym lato mieliśmy przez cały czerwiec, zamiast w lipcu; nie pomogło wówczas ani tualetowe nieprzygotowanie, ani trwający rok szkolny, ani głos ziemi, wołającej w tym okresie wielkim głosem o deszcz. Przyszły dni upalne, suche.

Czasem gdzieś na horyzoncie toczyły się zwały chmur, przeorane brzdami błyskawic. Czasem przeleciał krótki deszcz, chciwie wchłonięty przez spieczoną ziemię.

Ale wszechwładnie panowało gorące słońce. Idąca z nim w parze susza nie rokowała szczęśliwych horoskopów. Spalone łąki nie dadzą napewno obfitego wtórnego pokosu, przynosząc nam wzamian wybitne podrożeńie nabiału. Karłowate jęczmiona i owsy, kartofle i warzywa noszą też ślady długotrwałej suszy.

Wobec potężnych a tajemniczych kapryśków przyrody, daremnie miotał się „pan wszego stworzenia”. Zastanawiając się nad własną rzekomą potęgą, musi czuć jednak zawsze ponad sobą potęgę przyrody, której się przeciwstawić nie ma możliwości. Może się tylko trochę przeciw jej mocy zabezpieczyć, miotając bezsilne żale, skargi lub pożądanja.

Obecna zmiana temperatury jest zapewne przejściowa. Po dżdżystym lipcu, w sierpniu możemy się znów spodziewać upałów na podstawie... kalendarzowej. Ta nowa fala może zastać wielu ludzi nad morzem, w górach, wśród lasów i pól. Ale dużo zostanie w dusznych murach miast, gdzie drugie i trzecie podwórza — te studnie XX w. — zamykają tajemnicę tysiącznych istnień ludzkich, zamykają też prawie hermetycznie wszelką wentylację. Powietrze staje się tam w upał nie do zniesienia. Z otwartych okien buchają kuchenne wyziewy, odgłosy swarów i powszechny jęk: duszno! — To samo prawie dzieje się w lokalach frontowych, gdzie jest trochę



Kontrast pomiędzy letnim strojem pani i pana nie wymaga komentarzy.  
Photo Paramount.

więcej powietrza, ale doskwiera kurz i hałas uliczny.

Tę Gehennę bytowania latem w mieście pomnażają obawy przed złodziejami, którzy w przemyślny sposób dostają się przez otwarte balkony i okna. Władze bezpieczeństwa, chcąc ułatwić sobie zadanie czuwania nad dobytkiem mieszkańców, wydały pozwolenie otwierania na noc okien, począwszy od drugiego piętra! Tedy mieszkańcy parteru i pierwszego piętra skazani są na bezsenne noce z braku powietrza. Czyżby istotnie nie można inaczej zabezpieczyć mienia obywateli, jak tylko z krzywdą dla ich snu i zdrowia?

A przecież ludziom, którzy zmuszeni są przebywać latem w mieście, należałoby wszelkimi sposobami ułatwić korzystanie z tego lata. Powszechna „angielska sobota”, dłuższe otwieranie parków, udogodnienia komunikacyjne w stronę rzeki i za miasto, spokój w nocy — pozwoliłyby każdemu odpocząć i rozprężyć zmęczone pracą nerwy. Takie zarządzenia, wpływając na stan zdrowotny mieszkańców, tem samem oddziaływałyby i na wydajność pracy.

Do nieodzownych warunków zdrowotnych latem zaliczyć należy obfite i częste polewanie ulic. Przed wojną polewano stolicę pięć razy. Dziś mamy wprawdzie wspaniałe samochodowe polewaczki, są one jednak na ulicach rzadkim, ciekawie oglądanym gościem. Natomiast codziennym gościem, stałym bywalcem ulic jest kurz, hulający za każdym podmuchem wiatru. W niektórych dzielnicach dokucza on w sposób szczególny, wystarczy parę suchych dni, aby unosił się w górę całymi kłębami. Sprzyja on również wybitnie sygnalizowanemu zarazkom błonicy i płonicy. Jednak, pomimo ujemnych warunków latem w mieście w czasie upałów, trzeba umieć urządzić sobie dni możliwie najdogodniej, ażeby móc lato przetrwać.

Pierwszą codzienną poranną czynnością powin-





Lekkie śniadanie spożywają biegunowo odmiennie ubrani mężczyzna i kobieta.

Photo Paramount

na być kąpiel, lub dokładne umycie się z dużą ilością mydła i obfitością wody. Śniadanie lekkie, bez mięsa, z mlekiem, jajami, owocami. Ubranie odpowiednio do temperatury, jak najbardziej wygodne. Lekkie suknie wycięte i bez rękawów, przewiewne, na które doskonale nadają się wszelkie bawełniane tkaniny. Lekkie kapelusze (można je nosić nawet w ręk!), wygodne ażurowe obuwie i obnażone ręce. Snobizmem jest noszenie rękawiczek. Ręce zbrudzone wszędzie można umyć, a biała ręka odcina się nieładnie od reszty ciała, ozłoconego słońcem. Jeżeli ktoś bardzo dba o delikatność rąk, to utrzymać ją może doskonale z pomocą odpowiednich kosmetyków. Wszelkie grube palta i suknie, „letnie“ futra wyglądają w upały groteskowo!

Tak samo pożałowania godny widok przedstawiają mężczyźni w swoich przestarzałych ubraniach. Żadnego przystosowania do temperatury, żadnej inicjatywy w wynalezieniu ubioru prostego i lekkiego, w którym wygodą i higieną szłyby w parze z estetyką! Uparty konserwatyzm — tem bardziej niepojęty, im bardziej u kobiet widzi się doskonale przystosowanie stroju do nowoczesnych wskazań higieny, kultury ciała i estetyki. Reformatorzy męskiego stroju krzyczą o potrzebie zmiany, ale jakoś trudno im coś dobrego obmyślić i „mądrzejsza“ połowa ludzkiego rodu morduje się nadal w upały w swych wełnach i niezliczonych guzikach i spinkach.

Ale, wracając do upalnego régime'u, zaznaczyć należy, że latem odżywianie powinno być lekkie: jęczmiono-nabiałowo-owocowe. Mięsa trzeba jadać jak najmniej, ograniczając spożywanie go do 2 — 3 razy na tydzień. Unikać rzeczy ostrych i wędlin (zapach, buchający w upał z wędliniarni, może obrzydzić te

wyroby na całe życie!). Pić dużo, uważając jednak bardzo na jakość wody w danej okolicy i na „chłodzące“ napoje, sprzedawane wszędzie w wielkich ilościach. Szumne nazwy i bajeczne kolory nie zawsze idą w parze z odpowiednią jakością płynu.

Lekkie ubranie i racjonalne odżywianie tak samo są wskazane poza murami miasta, ażeby odpoczywający jak najbardziej mógł wykorzystać okres urlopu.

Jeszcze jednym nieodzownym warunkiem samoobrony przeciw zbyt niemu wyczerpaniu pobyt w mieście jest codzienne przebywanie w ciągu 2 — 3 godzin na powietrzu. Każdy powinien znaleźć na to czas, bez względu na to, o której porze dnia kończy się praca zawodowa, traktując pobyt na powietrzu, jako niezbędną kurację. Jeden odpocznie na terenie sportowym, na który podaży chętnie nawet bardzo rano. Inny — na spacerze pieszym w parku; jeszcze inny — siedząc cicho, gdzieś zdaleka od zgiełku miejskiego.

Często słyszy się twierdzenie, że po powrocie do domu z pobytu na powietrzu, jeszcze bardziej odczuwa się duszność mieszkaniową. Zapewne. Ale nikt nie odejmie organizmowi tej ożywczej przemiany materii, jaka dokonała się podczas parogodzinnego pobytu na powietrzu.

W domu trzeba się starać możliwie dokładnie przewietrzać pokoje. Najlepiej otwierać naprzestrzał okna i drzwi, bo przeciąg poruszy powietrze nawet w kątach pokoju. Wieczorem jeść lekką, orzeźwiająca kolację (mleko, jarzyny, dużo owoców). Bardzo dokładnie myć się na noc, nie tylko ze względów higienicznych, ale także dla ochłodzenia temperatury ciała.

I wreszcie spać, nakrywając się lekko i otwierając okna i balkony. Jeżeli to jest niemożliwe ze względów bezpieczeństwa — to otwierać chociażby oberlufy i lufciki (czyż nigdy nie będzie polskiego odpowiednika?).

Są takie chwile w nocy, szczególnie nad ranem, kiedy od wschodu idzie ożywczy wiew i, wpadając w najciemniejsze zaułki, orzeźwia dobroczynnym tchnieniem każdy kąt. Ale dostać się tam może jedynie przez otwarte okno.

M. Dobrowolska.

## SMAŻENIE I RUMIENIENIE

Ładnie zrumienić po wierzchu, nie wysuszając w środku i nie przypalając danego befsztyka, sznycla, ryby, lub nawet zwykłego racucha — jest do pewnego stopnia sztuką, która nie każdej gospodyni i nie każdej doświadczonej kucharce się udaje. I nikt uwierzyć nie chce, że główną przyczyną tych niepowodzeń jest używanie do smażenia — czystego masła.

Masło jest wprawdzie najsmaczniejszym i najstrawniejszym tłuszczem, jednak ma tę kardynalną wadę, że przy 170° C. już się pali, czernieje, wydaje niezdrowy, gryzący gardło i oczy swąd, a w dodatku takie przypalone masło jest niestrawniejsze od wszelkich wyklinanych przez t. zw. dobre gospodynie, frytur, szmalców, masła roślinnego i t. p.

Mówię tu o czystym, doskonale wymytem i wyprasowanym, tłustym maśle. Masło mniej starannie oczyszczone, lub mniej tłuste, jak naprzykład masło śmietankowe, wyborne na surowo, jeszcze prędzej się przypala, gdyż ma w sobie cząstki sernika, które przy topieniu przywierają do dna naczynia i przy tem-



peraturze wrzenia przypalają się. Że masło tych cząstek sernika zawiera dużo, może się przekonać każda gospodyni przy topieniu masła. Na dnie rondelka pozostaje zawsze biały, gęsty osad (pozwolę sobie tu dodać praktyczną uwagę, że tego osadu wylewać nie należy: stanowi on doskonały materiał na kruche ciasto).

Masło topione, oczywiście, już tych cząstek mlecznych nie posiada, więc nie przypala się tak łatwo, niemniej jednak przy temperaturze około 170° C. spala się zupełnie i czernieje. Tymczasem befsztyk np., do ładnego zrumienienia, czyli momentalnego skarmelizowania powierzchni, potrzebuje przeszło 200° C.; mamy tedy dwie alternatywy: albo podanie bladego, niezrumienionego należycie kawałka mięsa, przyczem cały sok zeń wypłynie i befsztyk nie będzie wcale wewnątrz soczysty, lub też zrumienienia go ładnie, lecz podanie w masle czarnem, spalonym, niestrawnem — już nie mówiąc o strasznym śwędzie spalonego masła, który z kuchni zostanie wraz z półmiskiem przeniesiony do jadalni.

Tutaj dodam małą uwagę, tyczącą się szybko zrumienienia. Ponieważ mąka prędzej i łatwiej się karmelizuje, niż wilgotne tkanki mięsne, dobrym sposobem, przyspieszającym zrumienienie, jest delikatne posypanie (jakby popudrowanie tylko) mąką mięsa, przeznaczonego na smażenie w chwili położenia go na patelnię z rozpalonym tłuszczem. Ilość mąki powinna być tak nieduża, aby nie uformowała się z niej zasmażka.

Przedwojenne gospodynie miały doskonały zwyczaj smarowania befsztyków, rumsztyków, polędwicy i rostbefu — jednym słowem mięs, wymagających raptownego i gwałtownego zrumienienia — oliwą, jednak zupełnie się myliły. co do rezultatów takiego smarowania. Mianowicie, twierdziły, że zabieg ten nadaje mięsu kruchość, tymczasem ta oliwa, znosząca bardzo wysoką temperaturę, dawała mięsu możność ładnego zrumienienia się bez przypalenia masła, gdyż nawet taki nieduży dodatek oliwy wystarcza, aby masło się nie paliło.

Kucharze robią jeszcze inaczej. Mianowicie: na rozpaloną prawie do czerwoności patelnię kładą mały kawałek frytury wołowej, znoszącej bardzo wysoką temperaturę; na niej raptownie z obu stron rumienia mięso, które, w ten sposób zrumienione, nie ma czasu wypuścić soku. Fryturę potem zlewają, a kładą na patelnię kawałek dobrego masła i z tem masłem, trochę tylko zrumienionem (francuzi to nazywają „beurre à la noisette“), podają befsztyk. Podwójny cel jest osiągnięty: mięso jest ślicznie zrumienione zewnątrz, soczyste wewnątrz, a konsument — zamiast niestrawnego, czarnego — je smaczne, lekko zrumienione masło. Toż samo można zastosować do polędwicy, rostbefu i wszelkich smażonych filecików; chociaż do tych dań — za wyjątkiem rostbefu, który przy dłuższem pieczeniu puszcza dużo własnego soku — przeważnie się podaje różne sosy, co czyni zbędnem oddzielne topienie masła.

Gorzej jest ze smażeniem mięs i ryb panjerowanych. Wprawdzie samo panjerowanie stosuje się właśnie w celu ładnego zrumienienia tych produktów i zachowania im wszystkich wartości wewnętrznych, jednak ma ono tę złą stronę, że mąka, jajko i bułka, stanowiące poniekąd warstwę ochronną, chciwie piją tłuszcz, nasycają się nim i stanowią część dania, wprawdzie smaczną, lecz nie dla wszystkich

żołądków strawną. Każda kucharka wie, że, aby ładnie zrumienić sznyce lub rybę, należy je kłaść na dużą ilość mocno rozpalonego tłuszczu; masło w takich warunkach się pali, więc trzeba smażyć na szmalcu, lub na fryturze. Szmalcu bułeczka więcej wypije, frytura w nią mniej wsiąknie, lecz w obu wypadkach danie będzie nieco przeciążające dla żołądka.

Francuzi i włosi radzą sobie w ten sposób, że wszystkie panjerowane potrawy smażą na oliwie, i to w taki sposób, jak my pączki na szmalcu. Oliwa, rozpalona do bardzo wysokiej temperatury, ślicznie rumieni i wcale prawie nie wsiąka w bułkę; zresztą zbytek tłuszczu osącza się jeszcze, kładąc usmażone kawałki na bibułę. Francuzi oprócz oliwy używają do takiego smażenia różnych mieszanych zwierzęcych i roślinnych tłuszczów; pozatem wiele mięs i ryb, zamiast smażyć na patelni (naczynie u nich niestosowane), przypiekają na ruszcie. Jest to przyrząd doskonały, i potrawy, tak usmażone, są wyborne w smaku i lekko strawne; niestety jednak, nie mamy odpowiednich urządzeń kuchennych, a małe ruszty do gazu są tylko surogatem dobrych, dużych rusztów do węgla drzewnego.

Cóż więc robić, aby, nie przypalając dań, ładnie je zrumienić na masle, mającema stałą opinię zdrowego tłuszczu? Otóż — sposób jest niestęchanie prosty: dodawać do masła oliwy. Dodatek taki absolutnie nie zmieni smaku potrawy, a da możność mocnego zrumienienia panjerowanych mięs i ryb bez przypalenia. Trzecia, a nawet czwarta część oliwy wystarczy, aby uchronić masło od spalania. Kto nie znosi zapachu oliwy z oliwek (prawie w tych warunkach niewyczuwalnego), niech używa oliwy z orzechów ziemnych „huile d'arachides“.

Możemy z czystym sumieniem używać te nieduże ilości oliwy zagranicznej (najlepiej francuskiej, bo jest lepiej oczyszczona od włoskiej), gdyż za każde jej kilo wysłamy zagranicę dwa kilo naszego krajowego masła, a dobry bilans handlowy nie polega tylko na niekupowaniu artykułów zagranicznych, lecz i na sprzedaży odpowiedniej ilości naszych.

Pani Elżbieta.



JAJKA W BUŁECZKACH.

Ile jaj, tyle bułeczek-warszawianek lub innych, tego samego kształtu i wielkości. Bułeczki powinny być nieco czerstwe. Ostrą tarką zetrzeć z nich skórkę, ściąć wierzchy i wyjąć środki, pozostawiając ścianki grube na mały palec. Bułeczki posmarować cienko masłem i wstawić w gorący piec, aby się lekko zrumieniły. Po wyjęciu, na dno każdej bułeczki włożyć łyżeczkę drobno pokrajanych, tłustych obrzynków od szynki, na to wbić po jednym, niedużem jajku, uważając, aby żółtko pozostało całe. Osolić jajko, odrobinę popieprzyć i wstawić napowrót w nieco mniej gorący piec, aby się białka ścięły. Podawać zamiast pasztecików po zupie, na śniadanie, jako samodzielne danie lub jako przekąskę po wódce. Otartą skórkę i ścięte wierzchy ususzyć i używać, jako tartą bułeczkę.



## FASOLKA Z MÓZDŹKIEM.

Cwierć kilo drobnej, perłowej fasolki namoczyć na noc w zimnej wodzie, zrana ugotować na miękko i przełożyć na ogniotrwały półmisek. Dwa mózgi wołowe lub trzy czy cztery cielęce, wymoczone i obrane z krwawej błonki, ugotować we wrzątku mocno osolonym i zakwaszonym paru łyżkami octu. Mózgi ostudzić, pokrajać w grube na palec plastry i ułożyć równomiernie na fasolce (całość powinna mieć kształt kopuły).

Dużą łyżkę masła (6 — 7 deka) zasmażyć, nie rumieniąc, z dwiema łyżkami mąki, rozprowadzić litrem przegotowanego i ostudzonego mleka, lub niegęstej śmietanki i zagotować. Sos ten powinien być tak gęsty, aby nie spływał z łyżki. Osolić go do smaku; kto lubi ostrzejszy, może dodać doń garść tartego, ostrego sera, lub nawet trochę białego pieprzu. Sosem tym pokryć równo mózdzek, posypać tartą bułeczką, zmieszaną z ostrym serem, skropić masłem i wstawić w dobrze gorący piec. Półmisek pod fasolkę powinien być wysmarowany masłem, aby się nie przypaliła. Gdy się beszamel ładnie zrumieni, natychmiast podawać, aby nie opadł. Dobre, lekkie danie na kolację.

## CIEŁĘCINA DUSZONA Z JARZYNAMI

Kilo cielęciny od mostku lub łopatki pokrajać na sześć równych, zgrabnych kawałków. Pół kilo młodych, małych kartofelków oczyścić; jeśli większe, przekrajać na połowę. Pęczek młodej karotki oczyszczonej pokrajać w grubą kostkę. Dodać szklankę łuskanego groszku, dużą garść siekanego koperku i dwie utarte na tarce młode, duże cebule. Jeżeli mamy kilka pieczarek, ogromnie podniosą smak tej potrawy, nie są jednak konieczne potrzebne.

Do rondelka ze szczelną pokrywą układamy mięso i jarzyny, lekko soląc każdy rząd. Kładziemy pomiędzy to wszystko sześć deka najlepszego masła, posypujemy przez sitko nie-dużą łyżkę mąki i zalewamy dobrą szklanką rosolu, lub wody z rozpuszczonym w niej kawałkiem buljonu. Zakrywamy rondel pokrywą i zaklejamy brzegi pokrywy klajstrem z mąki i paskiem pergaminu. Wstawiamy na czterdzieści minut do gorącego pieca. Rondel otwieramy dopiero przy stole, aby nie stracić z aromatu.

## KURCZĘTA OSMAŻANE W CIEŚCIE.

Kurczęta, ugotowane w rosoli i ostudzone, lub pozostałe z potrawy, podzielić na spore części, usuwając, o ile można, duże kości. Na jedno duże, lub dwoje małych kurcząt rozbić szklankę najlepszej mąki z dwoma żółtkami i taką ilością mleka lub wody, aby ciasto było nieco gęstsze, niż na lane kluski. Osolić ciasto, wyspać łyżeczkę od herbaty cukru-pudru. W smaku tego cukru wcale nie czuć, a ciasto się przez to ładnie rumieni. Ubić białka na sztywną pianę, wymieszać z ciastem. Maczać w tem cieście kawałki kurczęcia i natychmiast smażyć na rozpalonym szmalcu. Zamiast szmalcu można użyć dobrej frytury wołowej, która ślicznie rumieni, a nie tak wsiąka w ciasto. Ładnie zrumienione kawałki osączyć ze zbytecznego tłuszczu, układając je na chwilę na czystej, szarej bibule. Tak smażone-

mi kurczętami można obłożyć groszek zielony, młodą marchewkę, zieloną fasolę, purée z kalafiorów i t. p. Można je też ułożyć na półmisku, pokrytym serwetą, obłożyć ćwiartkami cytryny, ubrać zieloną pietruszeczką i podać oddzielnie czysty sos pomidorowy.

## KONFITURY Z GŁOGU.

Najlepszy na konfitury jest głóg z gatunku róży dzikiej (rosa rugosa pommifera). Jest on gładki, okrągły, wielkości rajskiego jabłuszka i ma śliczny, czerwony kolor. Można też użyć zwykłego, dużego głogu, lekko kosmatego (kosmatość ta przy smażeniu niknie). Głóg należy brać dojrzały, lecz jeszcze zupełnie twardy. Szypułkę kwiatową się ścina i przez ten otwór ostrożnie, piórkiem, dryluje głóg, uważając, aby go nie pokruszyć. Po wydrylowaniu należy każdy owoc wytrzeć wewnątrz wilgotną szmatką, nawiniętą na patyczek, aby usunąć włoski, bardzo przykre w konfiturze.

Tak przygotowany głóg nalewamy na noc zimnym ule-pem, usmażonym z 75 deka cukru i szklanki wody na kilo oczyszczonego owocu. Nazajutrz syrop zlewamy, dodajemy doń 25 deka cukru i, o ile jest za gęsty, trochę wody, zagotowujemy i zaledwie letnim zalewamy głóg. Ten zabieg powtarzamy kilka razy, aż zużyjemy dwa kilo cukru na kilo oczyszczonego głogu, zalewając coraz to cieplejszym syropem. Nakoniec smażymy głóg bardzo wolno i ostrożnie, wciskając sok z całej, dużej cytryny. Sztuka polega na tem, aby owoc pozostał cały. Gdy już będzie przezroczysty, studzimy na salaterce, nazajutrz składamy w słoiki. Głóg, dla prześlicznego, szkarłatnego koloru, stanowi niezastąpiony materiał przybraniowy. *Pani Elżbieta.*

## ZBIERAJMY NASIONA MORWY

Dla racjonalnego rozwoju jedwabnictwa w Polsce niezbędne są drzewa morwowe, wyhodowane z nasienia krajowego. We wszystkich okolicach kraju posiadamy starsze drzewa morwowe, zdrowe i silne, które niezwykle obficie obrodziły w tym roku. Należy wykorzystać więc obecny krótki (lipiec, część sierpnia) sezon owocowania morwy i przystąpić do zbioru nasion, zanim owoce opadną i zmarnuje się drogocenny plon nasienia, które sięga u nas ceny o 100 procent droższej od nasienia zagranicznego, nie z powodu braku jego w kraju, lecz tylko przez naszą opieszałość i niedbalstwo.

Zbiór nasienia jest łatwy: zbiera się owoce zupełnie dojrzałe, t. j. opadające z drzew, roznosi na miazgę i przepłukuje wodą, dopóki nasiona czyste, jasnożółtej barwy, nie opadną na dno naczynia (po wierzchu wody pływają tylko nasiona puste). Następnie należy wysuszyć nasiona w miejscu przewiewnym, nie na słońcu.

Każdą ilość zebranego nasienia zakupuje po cenach rynkowych Stowarzyszenie Instruktorów jedwabnictwa w Milanówku pod Warszawą, dokąd można przesyłać zebrane nasiona.

## WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17 zł. 40 gr. rocznie — 69 zł. 60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7 zł. 20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”, Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „Bluszcz”. Rymarska 8, tel. 244-18.



# Nasza Mównica

## Czortków w świetle mitów i dalekiej przeszłości.

Nad malowniczo położonym miasteczkiem, niedaleko rosyjskiej granicy i polskiego Meranu, Zaleszczyk, czasy dalekiej już przeszłości rozsnuły smętny mit o czarcie.

O czarcie-władcy, w czasach, kiedy to jeszcze na kresach Rzeczypospolitej i na ukraińskim rozłogu, gdzieś tam ukazał się człowiek, on, pan przeklętych tajemnic, szukał po ustronnych parowach Dniestrowych, tumaniał i przestraszał ludzi dobrej wiary, którzy „by licho było cicho”, egzorcyzmami zaęgnywali biesa zakusy.

Wracając tak raz nocą z dalekiej wędrówki i pędząc powietrznym szlakiem, dostrzegł na szachownicy leżących tam ziem, wąziutki pasek modrej wody, która wygrywała nocturn, jej tylko znany. Czart doznał olśnienia, a w jego płomiennych oczach przygasły snopy rubinowych iskier. Czart się rozmarzył... przysiadł u grzywy spienionych fal Seretu i dumiał tak długo, w zachwyceniu noc całą, dopóki świt nie położył swej bladej dłoni na płachtach jego skrzydeł.

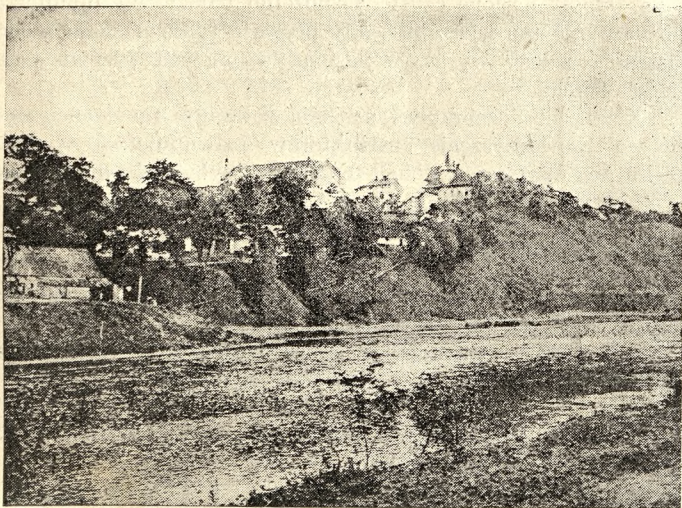
Ptaki zerwały się do lotu, a pióra ich zaróżowiły się jakby koralem. To brzask oświecił „czerwony brzeg” Seretu.

I załkało coś szeptem przeszłości w sercu buntownika, a wizja prabytu rajskiego stanęła, jak żywa.

— Ha! tamto przepadło, wyszeptał, lecz dzięki ci, błogosławiona falo, żeś chwilą melodji zabrała mi chwilę udręki, żeś była, jak woda Lety, wodą zapomnienia.

Dźwignął raz jeszcze, jakby pod brzemieniem kłatwy, ciężko łopoczące skrzydła, rozejrzał się po rozległej równinie, schwycił jedną z środkowych ska-mielin, gęsto wzdłuż płynącego Seretu usianych, i, ukrywając ją w fałdach swych szerokich skrzydeł, uniosł ku granicy rosyjskiej, pod Husiatyn, gdzie do dziś dnia zwą ją Czartowską Skałą.

Natomiast w wyżłobionej kotlinie, po jednej i drugiej stronie modrej rzeki, zabieliło się od domostw, w martwym zakątku, jakby na znak odlotu złej mocy. Najwyższa wola i Dobroć Boża pozwoliła życiu zarządzić i szczęściu zajaśnieć.



Nomoczesne wille nad Seretem.



Ruiny zamku.

Niemniej jednak nic wspólnego z szatanem nie mieli panowie Czartkowscy, którym przypisują założenie Czortkowa, około 1520 roku. Owszem, pobożni bardzo, fundowali kościoły, następcy ich zaś, Golscy, nawet sporym sumptem wyposażyli ks. Dominikanów, których klasztor istnieje od roku 1610 do dziś dnia. Jeśli zaś mieli coś z czartem wspólnego, to chyba to jedno, iż dziarsko szli na spotkanie wroga, czartowskich sług, pohańców-tatarów, którzy często pustoszyli ich spuściznę. A były to czasy, o których mówiono, „iż dla rycerzy obóz był domem, zbroja odzieniem, koń siedzeniem, ziemia posłaniem, a bitwy igraszką”: czasy, kiedy w czujności nieustannej, z muszkietem na plecach, a z szabłą u boku trzeba było pracować na roli, patrząc pilnie, co się wkoło dzieje.

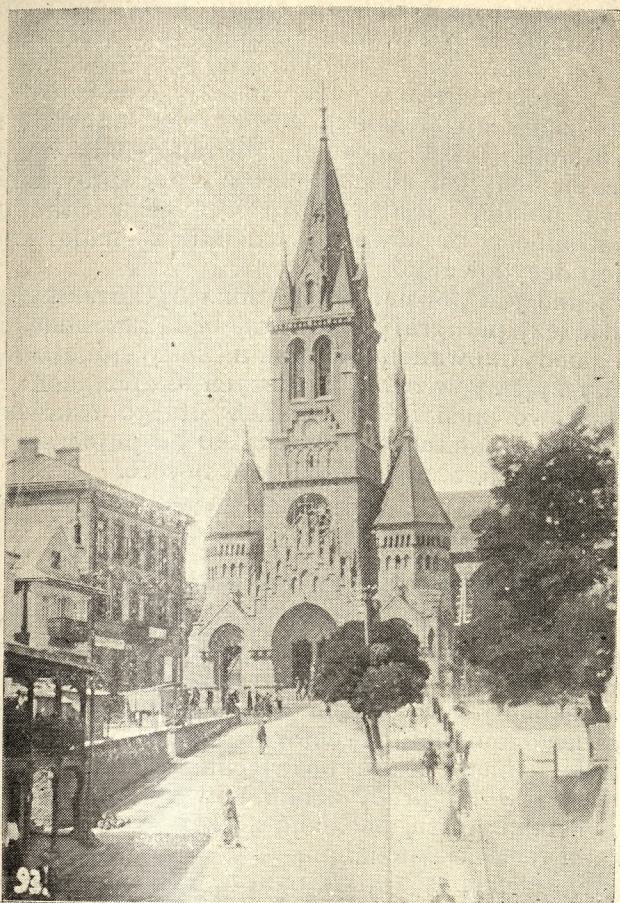
Toteż, gdy w wieku XVI. liczba najazdów stała się już zastraszająca, budują panowie na Czortkowie, tuż przy lewym brzegu Seretu, na stoku płaskowzgórza, siedzibę z kamienia i cegły, systemem fortalicijnym, o murach na piętro wysokich, w nieregularny pięciobok zamkniętych. Olbrzymi ten gmach, złożony z szeregu mieszkalnych komnat o arkadowych kruzgankach, całkiem obecnie jest zniszczony.

W owym czasie życie całego miasta koncentrowało się na zamku i losy jego znosiło. O tyle zaś gorzej było w Czortkowie, iż mimo solidności budowy, obronność zamku paraliżowało wyjątkowo fatalne położenie tuż pod stokiem wysokiego płaskowzgórza, skąd kamień rzucony dosięgał dziedzińca zamku. Mimo tego, danem mu było przetrwać bardzo wiele, przechodząc bowiem z rąk do rąk, od Czartkowskich do Golskich, a następnie Potockich, stawał czoło niejednej watasze tatarsko-tureckiej, czy moskiewskiej.

Dopiero od roku 1655 szczęście się odwraca: po kilkudniowej zaciętej obronie przez Potockich, zamek zostaje zdobyty. Potem w latach 1672 — 1676 bez wielkiego oporu dostaje się w ręce Turków, którzy, mając się już za całkiem osiadłych, tworzą w Czortkowie Paszałykat.

Po 13-tu latach niewoli, Andrzej Potocki, zorganizowawszy w Stanisławowie 12 tys. armję, wyrusza na wydarcie Podola z rąk tureckich i w rezultacie pomysłnym zdobywa je, dostając temsamem i Paszałykat czortkowski wraz z amunicją i zapasami żywności. Jedynym śladem pobytu Turków pozostały dziś





Kościół w Czortkowie.

jeszcze gdzieś nazwy wsi, jak „Solimanówka” (dziś powszechnie „Szulhanówka” zwana), „Majdan” i inne.

Przed kilkunastu jeszcze laty, komisja, złożona z uczonych tureckich, poszukiwała na terenie minionej okupacji tureckiej mogiły jednego ze znacznie szerszych swych ziomek, o którym objaśniały ich zapiski z owej ery, a którą to mogiłę znaleziono dopiero w okolicy Tarnopola.

W dalszej zmienności losów, Czortków dostaje się kolejno moskalom, którzy w murach zamku Czortkowskiego więżą przywódcę powstania na Podolu, generała Kołyszkę, Zygmunta Dobka, 70-letniego starca, z trzema synami i kilku jeszcze obywateli. Następnie, dzięki mozaice politycznej w jaką obfitowały wypadki owej doby, dostaje się Czortków w ręce austriaków, którzy budują koszary wewnątrz miasta, zamek zaś wydzierzawiają na magazyny, ulegające powolnej ruinie. Z biegiem czasu padają arkadowe krużganki, pękają sklepienia, dziś już wszystko jest w gruzach. Tylko, kiedy księżyc oświeci baszty i zaiskrzy się smugą tęczy blasków w opodal płynącej serpentynie Seretu, kiedy ucichną wszelkie ludzkie kroki, z sąsiedniej białej willi płynie cichutko dźwięk Sonaty księżycowej Beethowena, spadając perełkami melodji w szczeliny, idące gdzieś w lochów głąb; wtedy staje się cud: zamek ożywa. Chrząszczą zbroje, słychać kroki i śpiewne głosy kasztelanek... by za chwilę ustąpić cikliwej, jak miód lepkiej, jak mokka mocnej i sandałowem drzewem pachnącej mowie tych, których emblematem księżyc w nowiu, a haszyszem smętne spojrzenie hurys o ruchach gazeli...

Sonata dobiega końca... lecz jeszcze odgłosy, co to? Nie marzeń szeptu, lecz targające nerwy, westchnienia, miotanie się lwa w pułapce, marsowe twarze, sumiaste wąsy. Wreszcie przesuwanie ziarenek różańca: pojednanie się z Bogiem bojowników za sprawę narodową. I cichnie wszystko. Sonata skończona.

I my z szelestem duchów zbiegnijmy wdół ku

miastu, które oświetlone, jakby światłem opadłych w dół areolitów elektrycznością, daje się widzieć w gorączkowym życiu mieszkańców XX wieku, w masowej rozbudowie, w zapełnianiu każdego nieużytku estetyczną nowością, dającą mu cechę nowożytnego miasta.

Tyle o terażniejszości, a co pozostało z bogatej w różnorodność przeszłości? Oto ruiny tego zamczyńska i jary, gdzie życie krzewi się od prawieków. Wieki te na Podolu pieczętują się znakami o znaczeniu historycznym, pełno tu bowiem śladów człowieka dykującego i wielorakich kultur, sięgających pochodzeniem dalekiej północy i odległego wschodu. Poprzez jary te, przedziwne w swej budowie, bogate w niespodziane perspektywy załamów, zaciszy i widoków, na wysokie ściany (stiuki z ruska zwane) pnie się ścieżka życia ludzkiego; a dziś sypie się miał węglowy mknącego błyskawicznie stalowego czółenka-pociągu, haftującego na tkaninie malowniczego pejzażu, pióropuszem dymu i cynobrem iskier, tak szybko, jak szybko pędzi czas w swym zawrotnym biegu.

Marja Kondyjorowska — Odromąż.

### Parę uwag praktycznych.

Każda reforma, zanim wejdzie w życie, musi być rozpatrzona wszechstronnie. Tembardziej reforma kodeksu, któremu przypisuje się moc, normującą moralność. W sprawie reformy par. 141 i 142 Boy wysunął na plan pierwszy niedolę kobiecą, stąd i tytuł jego książki: „Piekiło kobiet”. Nie przeczę, że włożył w ten zbiór feljetonów dużo serca i zrozumienia życia. Ale, ponieważ daje antidotum na istniejące bezsprzecznie zło, wypada się zastanowić, czy, znosząc przyczynę jednej choroby, nie wywoła się drugiej. Będzie to właśnie obustronnem rozpatrzeniem sprawy.

Zniesienie karalności przerywania ciąży równa się zupełnemu tolerowaniu tego zabiegu. Boy chce, aby legalnie robiły to Kasy Chorych. Zmienia się tem samem odpowiedzialność rodziców za danie życia dziecku. Odpowiedzialność spada wyłącznie na kobietę: mężczyzna, współnik zapłodnienia, przestaje być winnym urodzenia dziecka. Uważam, że dochodzenie ojcostwa, ustawy o alimentacji nie mogą mieć miejsca, bo mężczyzna, w związkach nielegalnych z kobietą pragnie kochanki, a nie dziecka i zawsze tłumaczy się może, w wypadku sprawy o alimenty, że... mogła się poddać operacji, że nawet wówczas dawał jej pieniądze na ten zabieg, a alimentów płacić nie będzie, bo on temu nie winien, że dziecko na świat przyszło. I rzeczywiście nie winien. On był winien tylko zapłodnieniu, reszta... zależała od woli kobiety i dlatego ona jedna ponosić musi konsekwencje stosunku miłownego. I będzie to sprawiedliwe.

Drużga zła strona medalu, to rozbieżność między kodeksem, a etyką chrześcijańską. Choć usunięcie odnośnych paragrafów nie równa się zalecaniu sztucznych poronień, to jednak życiowo zajdzie tu napewno stosunek przyczynowy. Kobiety naogół są religijne, skreślenie par. 141 postawi je w rozterce ducha, bo nakaz religji jest silny, ale zakaz kodeksu też jest silny, wzmacnia autorytet czynników kościelnych. Brak tego zakazu wywoła rozbieżność i stać się może przyczyną cięższych przeżyć duchowych dla istot słabej woli. Zrozumiałem to jest dla każdego, kto zna gehennę dziejów grzechu i kto nie przecina sprawy modnym dziś hasłem: niema grzechu. Owszem, grzech jest i wyrzuty sumienia są i ta zdolność kwalifikowania czynów, jako złe i dobre, jest najistotniejszą stroną życia duchowego.

I jeszcze jedno: obawa przed macierzyństwem nieślubnem była dotąd biczem, który sprawiał, że ko-



biety były moralniejsze od mężczyzn. Obawiam się być źle zrozumianą, a w następstwie krzywdząco interpretowaną. Nie jestem zwolenniczką moralności „ze strachu”: jest to amoralność lub niemoralność w formie potencjalnej. Jeśli chodzi jednak o kulturę duchową i dorobek moralny ogółu, to lepiej, by zło leżało tylko w potencjach jednostek, niż ujawniało się w czynie. Dlatego też moralność kobiet, które przed małżeństwem nie uznają kochanków z obawy przed dzieckiem, nie mając wartości dla nich samych, ma dużą wartość społeczną (jak i np. człowiek, nie popełniający zbrodni tylko w obawie przed karą).

Zdaję sobie dokładnie sprawę ze starożytności mych poglądów na moralność, żądając od kobiet monogamji. Na swe usprawiedliwienie dodam, że jestem wrogiem moralności t. zw. podwójnej i tegoż samego żądam od mężczyzn. Boy wspomina, że w Anglii prowadzi się propagandę neomaltuzjanizmu wśród mężatek, wyłączając panny. Sądzę, że kierownicy tej akcji mają na myśli te same obawy, które i nam się nasuwają: niekaralność sztucznych poronień (lub znajomość środków ochronnych) obniży moralność.

Niektóre z pań, wypowiadających się w „Naszej Mównicy” zdecydowanie i bezapelacyjnie żądają zniesienia omawianych przez nas paragrafów. Spotkało się nawet twierdzenie, że o tem, czy kobieta (ciążarna) ma urodzić dziecko, decydować powinna ona sama. Jest to sprowadzenie sztucznego poronienia do znaczenia zabiegu toaletowego. Sądzę, że to sprawa ogólna. Osobista będzie, gdy te paragrafy już zostaną zniesione. Ale, czy właśnie powinna stać się osobistą? Widziałam fatalne skutki częstych poronień; lekarze wypowiadają się różnie, bardzo różnie. Nademną lekarz ręce łamał, że jestem w ciąży, ze względu na stan zdrowia, ale jednocześnie przeciwstawił się stanowczo operacji, twierdząc, że poronienie więcej mi zaszkodzi, niż poród i ciąża. Kobiety umierają nietylko w rękach sił nefachowych. A ileż z nich wpada w rozstrój i histerję?

Nie! to nie jest sprawa osobista. To jest właśnie sprawa ogólna, pod ogólne rozważanie poddana. Prawo zresztą, jako takie, niejednokrotnie wkracza w życie najbardziej prywatne, w sprawy, bezpośrednio ogółu nie dotyczące, np. zwalczanie kokainizmu, nadużyć seksualnych.

Że matka 6-ga dzieci umarła przy urodzeniu 7-go (przykład, zdaje się, Boy'a), niczego nie dowodzi: znam wypadek, że matka 5-ga dzieci umarła przy sztucznym poronieniu.

Wypowiedzenie się świata lekarskiego jest niemniej ważne, jak wypowiedzenie się kobiet i prawników.

Wogóle sądzą, że... nie jest to sprawa par excellence kobieca. Zawsze jest i ten ojciec... Sprawa równa po połowie: kobieca i męska. I jeśli chodzi o to „piekło” kobiet, to w równym stopniu jest to piekłem mężczyzn (płodność rodzin robotniczych), a raczej sądzą, że jest to... czyściec życia naszego na ziemi. Czyż tylko to jedno jest męką?

Boy, walcząc o nasze dobro, wysuwając, jako sztandar, uszczęśliwienie kobiet, walczy (bez sztandaru) i o dobro mężczyzn, o ulżenie i ich doli, jako ojców rodzin. A, nieświadomie może, i o dobro mężczyzn-kukulęk, bo, jak już wspomniałam, zapewnią im absolutną bezkarność. Jeżeli nawet prawnie dochodzenie ojcostwa i alimentów będzie zagwarantowane, to uważam, że jedynie sprawiedliwym w danym razie stanowiskiem jest uwolnić mężczyzn od odpowiedzialności ojcostwa.

Oceny etycznej zniesienia karalności przerywania ciąży nie poruszam; stwierdzam tylko, że cała rzecz sprowadza się do zagadnienia: czy spędzenie płodu jest zabójstwem, czy nie. Poruszyłam tylko kilka zagadnień natury praktycznej, życiowej.

Boy wysuwa kodeksowi godło medycyny: „primum non nocere”. Skwapliwie za nim powtarzam: primum non nocere. Ale co jest bardziej szkodliwe? I czy walki z przeludnieniem nie należy skoncentrować gdzieś indziej (zapobieganie), zostawiając zupełnie na uboczu środki tak krańcowe? Od odpowiedzi na powyższe się uchylam, choć milczenie w tej sprawie Boy nazywa „obludą”; jest to raczej poczucie wielkiej odpowiedzialności za słowo powiedziane i... małej kompetencji decydowania.

Jedno jest pewne: prawo musi być przestrzegane ściśle (czy paragrafy omawiane będą zniesione, czy tylko zmodyfikowane). Nie czas na indywidualizowanie, gdy żyjemy w coraz większych skupieniach: życie zbiorowe musi iść w ramach silnego ustawodawstwa. Ustawy nie mogą istnieć tylko na papierze. Ale powtórzę raz jeszcze: primum non nocere.

Częstochowianka.

## Komplet wychowawczy na wsi.

Przyjemnie jest widzieć coś udanego i dobrze prosperującego. Takie ze wszechmiar miłe wrażenie odnoszą wszyscy, którzy mieli sposobność zapoznać się z doskonałym pomysłem zorganizowanego na wsi, prywatnego kompletu wychowawczego. Ponieważ jest to dzieło kobiety, która poświęciła się wychowaniu pańienek i w tej pracy szuka nowych, najlepszych dróg, chciałabym się podzielić z Szanownymi Czytelniczkami tem, co widziałam.

Właścicielka majątku, pani Ł., mająca sama trzy córki w wieku od 8-miu do 13-tu lat, sądzi, że najlepiej wychowywać dzieci na wsi. Tam mają wszystkie warunki racjonalnego rozwoju fizycznego, mają ciepło i serdeczność rodzinnego życia, a przytem od najmłodszych lat zapoznają się z obowiązkami rodzinnymi, gospodarskimi i społecznymi, jakie czekają je w przyszłości. Ponieważ jednak takie wychowanie każdej poszczególnej pańienki byłoby nietylko zbyt kosztowne, ale wprost niemożliwe z powodu braku odpowiednich sił nauczycielskich, p. Ł. przyjmuje pańienki, odpowiadające wiekiem jej córkom, stwarzając w ten sposób rodzaj pensjonatu, który przypomina raczej liczną, zgodną rodzinę.

W tym roku pańienek było 12. Grono nauczycielskie składało się z profesora matematyki i przyrody, nauczycielki polskiego i historii, niemki z muzyką i francuzki, która ponadto uczyła gimnastyki rytmicznej. Do nauki religji przyjeżdżał ksiądz proboszcz, rysunków udzielała sama p. Ł.

Że w ten sposób prowadzone nauki stoją na odpowiednim poziomie, świadczą egzamina, składane co roku w gimnazjum państwowem w Żółkwi; że dziewczynki są zdrowe, miłe, wesole, miałam sposobność przekonać się sama.

Zaproszonych było 20 osób, z tych dyrektor gimnazjum w Żółkwi wraz z dwoma profesorami, matki wychowanek i sąsiedzi p. Ł. Uroczystość rozpoczęła się Mszą Św., odprawioną w miejscowej kaplicy, w czasie której uczennice śpiewały chórem. Po obiedzie nastąpił właściwy popis, składający się z deklamacyj polskich, francuskich i niemieckich, z gry na fortepianie solo, ze skrzypcami i na cztery ręce, oraz ze śpiewu chóralnego. Jedna ze starszych uczennic wygłosiła referat o życiu starożytnych Rzymian. Sala, służąca do zabaw, udekorowana była rysunkami i robotami uczennic; ładne wykresy, zielniki i bogata kolekcja zoologiczna dowodziły, że nauka nie jest prowadzona sucho i tylko z książek, ale na wzorach przyrody. Byłam szczerze zachwycona, a zdaje mi się, że nietylko ja, ale wszyscy obecni. Zdaje mi się również, że p. Ł. trafnie wybrała sposób wychowania i kładzie drobne może, ale cenne cegiełki w budowie szkolnictwa nowoczesnej Polski.

Zakliczyna — Tehlero.